

# Mysł Polska

MIESIĘCZNIK POSWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU  
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 105 (Rok VI, Nr 10)

Grudzień, 1946

Cena (Price) 2/-



**BETLEEM POLSKIE**

Rys. Jerzy Faczyński

WŁADYSŁAW FOLKIEWSKI

## O TRADYCJI I TRADYCJACH

NADCHODZĄCY okres przesilenia dnia z nocą, albo lepiej ciemności ze światłem, okres Bożonarodzeniowy, bardzo naturalną drogą każe nam zatrzymać się nieco nad istotą pojęcia tradycyjności, pojęcia nieraz atakowanego i wyśmiewanego, ale nigdy szczerze i dogłębnie, bo, w rzeczywistości, nie ma człowieka, a zwłaszcza nie ma Polaka, któremu by jakieś tradycje drogie nie były. I tak, któryż z naszych antytradycjonalistów bezkarnie by przeszedł przez ten okres Bożego Narodzenia, bezkarnie, t. zn. bez wzruszeń i zadumy?

W rzeczywistości częsty i nieledwo nagminny spór o tradycję jest przeważnie walką o słowa. Nie ma bodaj przykrzejszej walki niż walka o słowa: chciałoby się nieraz pomówić o pojęciach, podyskutować o ideach, a tu trzeba czas i siły, a przynajmniej czas i humor tracić na walkę głołosłowną, bo walkę o słowa...

Zauważyć to bowiem łatwo: tam nawet, gdzie z niejakim przejściem atakuje się tradycję i tradycjonalizm — wystarczy podstawić pod słowo "tradycja" słowo "historia", "pamiątka" albo "obyczaj", i od razu spór milknie, bo mu nie staje materiału. A przecież o nic innego w tradycji nie chodzi jak o przekaz historii widoczny w słowie niepisany, jakim jest obyczaj i pamiątka.

Zwłaszcza w życiu narodu. Zważmy, że nie od razu naród może się dochować spuścizny pisanej. Wszakże nieraz długie wieki mijają zanim pojawi się w życiu narodu piśmiennictwo, czy literatura. A przecież nie powstają one z niczego, nie wyskakują gotowe jak Minerwa z głowy Jowisza; wręcz przeciwnie, są one dalszym, późnym rezultatem długich wieków urabiania się świadomości narodu drogą słownie przekazywanych tradycji, przechodzących z pokolenia w pokolenie.

Tak więc naród polski dochował się literatury dopiero w wieku XV i XVI. Czyż to znaczy, że przedtem nie posiadał on swej świadomości narodowej? Zupełnie przeciwnie: nie ma pewno dla naszego narodu okresu plenniejszego i ważniejszego niż owych lat pół tysiąca, które poprzedziły pojawienie się narodowego piśmiennictwa! Wtedy to naród wykuł w sobie swe odrębne oblicze duchowe, które tak pęczniało i prężniało, aż niby liściem i kwiatem puściło w przepyszne piśmiennictwo Zygmuntońskiego okresu. W przeciwnym razie, gdyby to był przejaw jakiejś *génération spontanée*, byłby to oczywiście dziw nad dziwy, żeby taki okres pierwszy stał się od razu dla literatury okresem złotym. Zaiste, nie od razu okres złoty zbudowano...

Na fakt ten zwrócił po swojemu uwagę Jan Kochanowski, kiedy przystępował do pisania swojej *Sobótki*. Czytamy tam, iż

wątek ten przekazali mu ojcowie, a ojcom praojcowie. Był to więc wiekowy przekaz tradycji, który wsiąkł głęboko w naród, był wciąż żywy i stanowił żywą komórkę narodowego obyczaju, zanim jeszcze dostał się do literatury: jeden i druga, obyczaj nie mniej niż literatura, stanowili i stanowią samą żywą treść tej zbiorowej wspólnoty, jaką jest naród. Zważmy dobrze: u samego progu naszej wielkiej literatury, cztery wieki temu, już Kochanowski miał świadomość polskiego przekazu tradycyjnego, niepisanego, i do niego świadomie nawiązywał, zawiązując oń niby swoją poetycką twórczość!

Należy bowiem wreszcie jedną rzecz dobrze przeniknąć. Mówi gdzieś Goethe o matkach — prządkach historii, o tym, że gdzieś, w mrokach tajemnicy i mitu, na głębinach więc zbiorowego anonimatu, gdzieś w zaświatach historii i podświadomości jednostek, czuwają i niezmordowanie pracują wielkie twórczynie idei i prądów tworzących historię i kulturę. Nikt nie może przecenić wartości indywidualnego wkładu wielkich jednostek ludzkich w kulturę. Ale nie zapominajmy nigdy, ile największe nawet z nich zawdzięczają zbiorowej atmosferze, którą od dziecka oddychają, a która jest tworem całych wieków zbiorowej pracy i wysiłku. Najlepszym zwierciadłem tej rzeczywistości jest mowa, jest język narodowy. Któryż z wielkich ludzi danego narodu mógłby pokusić się o miano twórcy języka, nie twórcy w języku, ale twórcy języka? Przecież i Mickiewicza i Słowackiego cechowała pokora wobec tego arcy-tworu polskiej zbiorowości, jakim jest język polski.

Podobnie jak w języku rzeczy się mają w dziedzinie jeszcze pozornie mniej uchwytnej, jaką jest styl życia danego narodu. O ile jakiś naród zdobył się na własne oblicze i własną oryginalną indywidualność, zdobył się on na pewno i na odrębność swego życia zbiorowego i jego własny styl. Tu właśnie niepodzielnie panują przekaz wiekowy, tradycja i tradycje, to co się nazywa obyczajem narodu. Jeśli dobrze wnikiemy myślą w naszą polską historię w czasie i w naszą polską rzeczywistość w przestrzeni, stwierdzimy ponad wszelką wątpliwość, że obok naszych arcydzieł sztuki i poza nimi, obok Kochanowskich, Mickiewiczów i Słowackich, obok Szopenów, Wyspiańskich i Chelmońskich, stworzyliśmy niezmierznie odrębną i oryginalną rzeczywistość zbiorową, jaką jest styl życia i ducha polskiego, to, co — skrótem powiedziawszy — wspólnego było polskiemu dworowi i polskiej włościńskiej zagrodzie, ich stosunek do Boga, do przyrody, do bliźniego, do Narodu, stosunek do języka i do obyczaju: polska tradycja w całej rozciągłości.

Głównym warsztatem społecznym, na którym przerabia się od wieków przeszłość

polską w przyszłość polską, — jest rodzina. Tam to dziecko, w najdroższej atmosferze macierzyńskiej, spotyka się o każdej godzinie swego młodego życia z wiekowym przekazem niesionym na falach języka i obyczaju, tam to uczy się powoli odwijać — podświadomie — zwoje narodowej tajemnicy: to więc, co znaczy np. *przy-jazń*, albo to, że ład stwarza piękno, skoro jest *ładne*, albo to, że *dziedzic* jest synem dziada — czy pradziada — a nie tylko ojca, jak wojewodzie synem wojewody i księżyc synem księcia-słońca...

Przy kolebce dziecka czuwa i obyczaj dnia codziennego, tym bardziej świąteczny. O równych porach roku zjawiają się — od wieków — równe reakcje zbiorowe i społeczne, niezmiernie wzruszające. Dzięki religii i dawnej, błogosławionej wspólnotie pozanarodowej, jaką jest chrystianizm, zjawiają się tu wspólne tradycje i obyczaje, obejmujące cały świat chrześcijański, z pewnymi w każdym narodzie odmiankami, od lat dwóch tysięcy już blisko płyną ku nam tradycje Bożonarodzeniowe, od lat tysiąca polskie tradycje Bożonarodzeniowe, jasełka, gwiazdy, turonie i kolendy. Cóż to wszystko oznacza, jeżeli nie najdroższe tradycje, stanowiące o wspólnej świadomości? Szczęśliwy naród, który w swoim rozwoju nie odbiegł od swojego rodzimego, organicznego wiekowego przekazu tradycji i obyczaju.

Z biegiem narastania historii świadomej i pisanej — tradycja wcale nie znika i nie więdnie, owszem bogaci się i rozwija. Naród ma przecież swoje historyczne święta. Tworzy się wielki narodowy pamiątek kościół. Każda zwarta rodzina święci imieniny i urodziny swych członków: to nie są humorystyczne, zewnętrzne formy, na tym zwłaszcza polega serdeczne funkcjonowanie życia rodzinnego. Rodzina większa, rodzina narodowa ma też swoje święta rocznic, jubileuszy i pamiątek: należą one do istotnych funkcji żywej narodowej pamięci, bez której nie ma narodu, boć jest on tworem nie tylko przestrzeni, ale i czasu. Wreszcie rodzina największa, rodzina chrześcijańska ma cały swój doroczny kalendarz oplatający się o tajemnice Zwiastowania i Męki, Zmartwychwstania i Zesłania Ducha Świętego. Takie święta i rocznice są momentami obcowania społecznego z czymś dawno minionym, ale i wiecznie żywym. Takie obcowanie, Świętych Obcowanie, jest samą treścią społecznego życia, nie uznającego śmierci ni straty.

Kult tradycji ma swoich przeciwników i wrogów. Ci z kolei mają swoje argumenty. Nie zamykajmy na nie oczu. Może polegają na nieporozumieniu?

Jeden z tych argumentów, bardzo częsty, zarzuca tradycjonalizmowi, t. zn. kultowi tradycji, — wsteczność i anty-postępowość.

## WIARA LOTNIKÓW

Jeżeli każecie, mówi ten argument, wracać wstecz ku przeszłości, czcić jej tradycje i obyczaje, nie ma powodu, by nie wracać hen do ludożerstwa, do ofiar ludzkich i całopalnych. Czy to też czcić należy?

Argument niesłuchanie zawodny i tani. Przecież tradycje zahaczają jedne o drugie, wzajemnie się bogacąc i dorwarzając. Skarbiec tradycji jest nigdy nie zakończony i nigdy nie zamknięty. My sami kiedyś będziemy należeć do świata przeszłości wraz z całym naszym dorobkiem i nowoczesnością. Co więcej, świat tradycji ma swoje własne życie. Życie to polega na wzajemnym wartościowaniu *ex post*. Są tradycje tanie i martwe, które po jakimś czasie ulegają przewartościowaniu, usunięciu i wyparciu. Są inne, które błyszczą światłem coraz jaśniejszym. Nie tylko historia jest *magistra vitae*, ale i *vita* jest *magistra historiae*. Z każdym nowym wiekiem przebudowuje się nam historia wieków dawnych, inaczej się szereguje, inaczej wartościuje. Nigdy żywy, właściwy tradycjonalizm nie zahamuje pędu ku przyszłości i nowemu wysiłkowi. Ale i właściwy wkład nowej ery i nowego wysiłku indywidualnego nie zdoła przekreślić przeszłości: jest on właśnie nowym *wkładem* w coś, co dawno istnieje, i co dodać może tylko dalsze nowe ogniwo do łańcucha, któremu końca nie masz.

Drugi argument przeciwników tradycji jest jeszcze tańszy, jeszcze bardziej kusy i powierzchowny, ale za to coś może i na nim jest. Wynika on jakby z nerwowego zniecierpliwienia t. zw. wspominkarstwem. Ale bo są istotnie ludzie, którzy ze swym wiecznym święceniem pamiętek przesadzają, każąc nam się roztkliwiać i wrzeszczać zbyt często, i nad nie zawsze zasługującymi na takie zamyślenie się nad nimi zjawiskami, czy osobami. Wszakże już i sam wyraz "wspominkarstwo" jest ujemny. Nie mieszkamy wspominkarstwa z istotnymi narodowymi pamiętkami kościołem — a unikniemy bodaj przeciwników z tej nikłej kategorii.

I jest jeszcze argument trzeci, argument purystów językowych, którzy zarzucają, że tradycja jest wyrazem — obcym! Czystość języka chronić należy jak oka w głowie, ale też i jednym z najzłośliwszych i najnieznośniejszych na świecie stworzeń jest purysta językowy! Jest on przede wszystkim na tyle nielogiczny i krótkowzroczny, że tępiąc wszelkie językowe obyczaje sam zowie się dumnie *purystą*, używając w ten sposób krzyczącego obcością terminu! Purystom takim należy przypomnieć, że język ma też swoje indygenaty. Jeżeli obcy pochodzeniem wyraz został w krąg narodowego języka wprowadzony od wieków i od wieków jego życiem żyje — dajmy mu spokój, bo swoich praw językowego szlachectwa nabył. Wszak i wyraz *religia* jest obcym, a nie zastępujemy go; obcym jest i *katolicyzm* i choć mogliśmy go wyrazem *powszechny* zastąpić, nie czynimy

Wyrażane było kilkakrotnie przypuszczenie, że gdyby nie udział lotników polskich w Bitwie o Wielką Brytanię, stoczonej na jesieni 1940 roku, bitwa ta wygrana by była przez Niemców, a to rozstrzygnęłoby, zapewne na długie dziesięciolecia, o losach świata. Jest zawsze rzeczą ryzykowną mówić o prawdopodobnym rozwoju wydarzeń — wielkich czy małych — w wypadku zespołu okoliczności odmiennego niż ten, który zaszedł w rzeczywistości. Niemniej za przypuszczeniem powyższym przemawia fakt, że owej krytycznej jesieni sześć lat temu brytyjskie siły powietrzne były jeszcze liczebnie bardzo słabe — nieporównanie słabsze od sił wroga — i w tych warunkach sukces czterech doskonałych dywizjonów polskiego lotnictwa myśliwskiego i bombowego, łącznie z udziałem prawie setki lotników polskich w formacjach myśliwskich R.A.F.-u, mógł istotnie przechylić szalę na korzyść wspólnej wówczas sprawy brytyjsko-polskiej.

Jest tak samo rzeczą wysoce prawdopodobną, że do zwycięskiej Bitwy o Wielką Brytanię w ogóle by nie doszło, gdyby nie powzięta w roku poprzednim bohaterska i desperacka decyzja narodu polskiego przeciwstawienia się pochodowi imperializmu niemieckiego, odrodzonego w nowym, szczególnie barbarzyńskim kształcie. Decyzja ta dała mocarstwom zachodnim, a także — co należy szczególnie podkreślić — Związkowi Sowieckiemu, szereg miesięcy na przeprowadzenie i uzupełnienie ataków; gdyby nie

tęgo. Skorzystajmyż więc i z tego, że Kościół zna i używa terminu *tradycja* we wszystkich językach i za jego wzorem nie niepokójmy się zbytnio tym wyrazem obcym!

Tak więc nie burzmy tradycji, ale ją czcijmy roztropnie, nie lekceważmy tradycji, ale je świętymy obyczajem naszych ojców:

*Arko, tyś żadnym niezłamana ciosem,  
Póki cię własny twój lud nie znieważy!*

Mówił to Mickiewicz o pieśni gminnej, pieśni ludowej, ale jest ona właśnie najpiękniejszym kwiatem tej tradycji zbiorowej, o którą nam idzie:

*O wieści gminna, ty arko przymierza,  
Między dawnymi i młodszymi laty,  
W tobie lud składa broń swego rycerza,  
Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty!*

Właśnie o takiej *wieści gminnej* myślimy w tych naszych rozważaniach.

Tak więc, w tę dobę Bożego Narodzenia, mimo naszych nieszczęść i żaloby, zdobądźmy się na ten zryw wewnętrzny, by, idąc szlakiem naszych odwiecznych tradycji, zgodnie chwalić Boga na wysokościach i życzyć pokoju wszystkim ludziom dobrej woli. Pojmijmy też i tę dalszą prawdę, że to drugie życzenie jest czcze i jałowe bez tamtej Chwały.

WŁADYSŁAW FOLKERSKI

ten okres, Hitler miałby wszelkie szanse powalenia wszystkich swych przeciwników, zarówno od wschodu, jak od zachodu, bądź przez serię uderzeń zbrojnych, bądź też przez wymuszenie od niektórych z nich upokarzającej kapitulacji, nawet bez wojny.

Jedno jest pewne, i to niezależnie od politycznej oceny powziętych w tym okresie postanowień: że mianowicie społeczeństwo polskie, podejmując rzucone mu we wrześniu 1939 roku wyzwanie, poszło do walki w mocnym przeświadczeniu, iż chodzi tu nie tylko o sprawy i ziemie polskie, ale o rzecz bardziej powszechną: o odparcie zamachu na pewne podstawowe wartości wierzeń naszych i naszej cywilizacji. Świadomie lub podświadomie czuli to w Polsce — i wówczas, i w późniejszym okresie zmagani podziemnych — wszyscy: od robotnika i chłopca do przywódców politycznych, uczonych, pisarzy i duchowieństwa. Taka sama właśnie była wiara lotników polskich podczas Bitwy o Wielką Brytanię, oraz w późniejszych z wrogiem spotkaniach.

W tym poczuciu i w tej wierze nie byli oni osamotnieni. Kto tutaj przeżywał nie tylko okres Battle of Britain, ale i następną miesiąc niemieckiego bliznu nad całym krajem, nie zapomni atmosfery wysokiego napięcia ideowego, jaka ożywiła wówczas społeczeństwo brytyjskie. W oczach najskromniejszego z obywateli widziało się dumę, że ojczyzna jego jest ostatnią twierdzą wolności w Europie, — dumę i wolę walki do końca.

Trzy lata ostatnie przyniosły światu zupełne wyrzeczenie się głoszonych do tej pory zasad i ideałów — przyniosły mu katastrofę moralną i cywilizacyjną. Powalenie Niemiec nie tylko nie przywróciło wolności narodom wielkiej części Europy, ale podporządkowało je tyranii pod względem moralnym gorszej jeszcze niż dotychczasowa, bo przypieczetowanej haniebnyymi umowami zwycięskich mocarstw i Piłatowym umywaniem rąk przez Zachód.

Lecz wartości moralne naszej cywilizacji są nieśmiertelne — wypływają bowiem z niezniszczalnych pierwiastków ducha ludzkiego. Wdeptane dzisiaj w ziemię i plugawione na każdym kroku przez tyle możliwych czynników tego świata — wystrzelą znów na powierzchnię, gdy czas nadejdzie, z większą jeszcze siłą, niż kiedykolwiek przedtem. Ich odrodzenie przynieść musi — tą czy inną drogą, z wojną, czy bez wojny, jak tego wszyscy gorąco byśmy pragnęli, — odbudowę wolnej naprawdę we wszystkich życia dziedzinach Polski.

Dopiero wówczas odbyć się będzie mogło prawdziwe Święto Zwycięstwa, święto, w którym na pewno nie zbraknie miejsca — zaszczytnego i jednego z pierwszych — dla polskich lotników. Myśl o tym krzepić ich winna w tragicznej chwili rozwiązania wolnych polskich sił lotniczych, które stanowiły zawsze przedmiot szczególnej naszej dumy i miłości.

ANDRZEJ TOMICKI

## NA BEZDROŻACH MARKSIZMU

JAK wiadomo, komuniści są wyznawcami filozofii materialistycznej jako światopoglądu. Nie ma ich zdaniem nic poza materią. Przejawy życia psychicznego wynikają również z przemian materii, są wyłącznie jej odbiciem i uzupełnieniem. Idą oni tutaj dalej niż wielu socjalistów, którzy, jak na przykład Leon Blum na ostatnim kongresie socjalistów francuskich, odgradzili się od integralnego materializmu, dopuszczając możliwość jednoczesnego uznania teorii materializmu dziejowego i pozostawienia wolności światopoglądowej w innych dziedzinach. Blum, mimo że jest socjalistą, widzi możliwość innej niż materialistyczna podstawy np. myśli ludzkiej, a więc także innej, niż materialistyczna, istoty człowieka jako indywidualum.

Jest to bardzo duża różnica między socjalizmem, i to właśnie socjalizmem zachodnim, a komunizmem. Z tej bowiem różnicy wywodzi się w socjalizmie zachodnim dążenie do tolerancji innych przekonań, a przede wszystkim wywodzi się zabarwienie humanistyczne wielu odłamów socjalizmu zachodniego i jego szczerza niechęć do totalizmu. Każdy totalizm bowiem — jak wynika to z samej nazwy, pochodzącej od słowa łacińskiego *totus* — „cały” —, obejmuje z konieczności swoim zasięgiem wszystkie dziedziny istnienia, skoro oparty jest na jednej tylko podstawie. Na odwrót, światopogląd uznający jeden tylko pierwiastek istnienia, musi być z natury rzeczy zabarwiony totalitarnie. Zależy oczywiście od natury tego pierwiastka, jak się ukształtuje wyrastający na jego podłożu totalitaryzm.

Totalitaryzm, uznający tylko materię i jej prawa, jest i musi być totalitaryzmem najbardziej okrutnym i najbardziej bezwzględny, albowiem takie są prawa materii. W materii nic nie trwa i wszystko mija. Lekceważy on zupełnie jednostkę ludzką, która w jego pojęciu jest chwilowym przejawem materii. Ginie ona w ruchu przemian najzupełniej i z tą chwilą traci wszelkie znaczenie. Nie jest też w tych warunkach ważne niszczenie jednostek ludzkich. Równa się ono zerwaniu liścia na drzewie, na którym w zamian wyrośnie tysiące innych. Znaczenie ma tylko ruch i przemiana, będące istotą życia materii. Wszystko jest w akcji, a akcja jest przejawem siły, która nie zna litości ani żadnych innych względów oprócz dążenia do bezwzględnego rozwoju. Słowa Goethego do chwili: „Zatrzymaj się, jesteś tak piękna” są przeciwne naturze totalitaryzmu materialistycznego. Ani piękno, ani szczęście nie zatrzyma ani na chwilę jego niszczącej akcji. Materia bowiem nie zna tęsknoty do zatrzymania chwili szczęścia, ani żadnej w ogóle chwili. Taka tęsknota jest przeciwna istocie materii. Rodzi się ona wyłącznie z przeciwstawienia materii innego pierwiastka, tak samo, jak pojęcie istoty *niezmienniej* i trwającej wiecznie, która z natury rzeczy może istnieć tylko poza materią.

Z tej tęsknoty wywodzi się też dopiero pojęcie nieśmiertelności i pojęcie prawdy obiektywnej i niezmienniej. Prawdą uznaną w materializmie jest tylko zmiana.

\*

Komunizm bolszewicki jest logiczną konsekwencją każdego materialistycznego światopoglądu. Z tym światopoglądem rodzi się on i upada. Zwycięstwo materializmu prowadzi do niego nieuchronnie *przedz* czy *później*.

Za to bankructwo materializmu w konsekwencjach swoich musi go obalić.

Komunizm, podobnie jak hitleryzm, został przygotowany przez filozofię materialistyczną dziewiętnastego wieku. Idąc śladami Marksa i Engelsa, Lenin i Hitler wyciągnęli z niej po prostu logiczne wnioski w dziedzinie socjalnej. Lenin uczynił to jednak w stopniu znacznie bardziej wyrafinowanym, niż Hitler, który jako umysłowość stoi od niego bez porównania niżej. Ale teorie leninowskie wpłynęły bardzo na kształtowanie się pojęć narodowego socjalizmu. Wspólne są materialistyczne podstawy obu tych prądów i tym samym ostateczne ich dążenia. Różnice są raczej zewnętrzne. Niemcy wniosli do swojego światopoglądu pojęcie rasy, zaczerpnięte z nauki biologii, traktujące życie również jako przejaw materii. Czymże innym jest powiedzenie hitlerowskie: „dusza jest rasą, a rasa jest duszą”, jak nie wyrażeniem na swój sposób dogmatu bolszewickiego materializmu, że myśl jest przejawem materii i że nie istnieje nic poza tym.

\*

Należy sobie zdać sprawę z tego, że światopogląd materialistyczny w ujęciu Lenina uznany jest przez dzisiejszych władców Rosji za dogmat o znaczeniu zasadniczym i trwałym. W jego ramach ma zostać rozwiązane życie człowieka. Do teorii Lenina przystosowuje się w Rosji wszystko. Nie ma w pojęciu bolszewickim słuszności poza tym, co głosił Lenin, rozwijając teorie Marksa i Engelsa. Słepa wiara w wiedzę ludzką i jej nieograniczone możliwości wchodzi w skład tego światopoglądu. I ona zresztą wywodzi się z dziewiętnastego wieku. Bolszewicy idą tak daleko, że nawet zasadę rewolucji, jako zasadniczego i jedyne w przeciwieństwie do zasady ewolucji czynnika rozwoju, uzasadniają teoriami z dziedziny fizyki. Postęp dokonuje się ich zdaniem tylko drogą rewolucyjną, podobnie jak według słynnej teorii kwantów niemieckiego fizyka Plancka energia również nie działa, względnie nie jest oddawana w sposób ciągły, ale jednorazowymi rzutami. Rozwój ludzkości dokonuje się więc tak samo nie w sposób ciągły, ale jednorazowymi rzutami. Przełożone na język socjologiczny rzuty te oznaczają wstrząsy rewolucyjne. Nie ma więc ciągłego i pokojowego rozwoju społeczeństwa i nie ma innego sposobu zmiany i postępu, jak rewolucja, niszcząca za każdym razem przeszłość mniej lub więcej gwałtownie.

PARADOKS WĘWNETRZNY  
MARKSIZMU

Jest jednak w materializmie bolszewickim i w ogóle w materializmie marksistowskim paradoks wewnętrzny, który warto podkreślić po prostu dlatego, żeby odmiennie zapatrywania silniej ustawić. Opierając się na wywodach właśnie Marksa, Lenina i Stalina, którzy myśl ludzką uważają za wytwór przemian materialnych a teorie społeczne oraz ustroje, rzecz prosta, wyłącznie za uświadomienie sobie dokonanych przemian gospodarczych, należy powiedzieć:

Skoro zmiana środków produkcji wywołuje zmianę teorii społecznych i w ogóle zmianę ustroju społecznego, słowem skoro historia

jest wyłącznie historią zmian sposobów wytwórczości, to oczywiście teoria i ustrój bolszewicki są również tylko odzwierciedleniem zmiany środków produkcji i ich *aktualnego* stanu. Mają one więc tylko znaczenie dopóty, dopóki pozostają bez zasadniczych zmian sposoby produkcji. Co jednak będzie, gdy właśnie środki i sposoby produkcji się zmieniają? Dzisiejsze sposoby produkcji oparte są na określonych źródłach energii, takich jak węgiel i nafta. Przemysł całego świata jest do nich dostosowany. Organizacja gospodarcza wywodzi się z właściwości tych właśnie źródeł energii i możliwości ich zużycia. Tu i tam dochodzi jeszcze tak zwany „biały węgiel”, to znaczy wyzyskanie spadów wód dla produkcji energii elektrycznej. Wymienione źródła energii wzmagają wszędzie budowę wielkich fabryk i organizację transportu, co pociąga za sobą powstawanie wielkich skupisk robotniczych. Robotnik sam pozbawiony został możliwości posiadania własnych źródeł energii i środków produkcji z tą chwilą, gdy jego własne mięśnie przestały wystarczać.

Co się jednak stanie, gdy źródła energii się zmienią, gdy nie będzie nimi ani węgiel, ani nafta, ale wystarczy na całym świecie kilkanaście wielkich instalacji dla produkcji energii tak zgęszczonej, iż przenosić ją będzie można w zbiornikach ważących np. kilogram i gdy z pomocą tej ilości będzie można dokonać największych wysiłków produkcji? Gdy nie będą potrzebne ani kopalnie węgla, ani szyby naftowe, a w dalszych perspektywach nawet kopalnie niektórych minerałów i metali, bo będzie je można produkować zupełnie innymi sposobami? Gdy przestanie być aktualna kwestia przewozu wielkich mas źródeł energii, to znaczy węgla i nafty? Słowem, co będzie, gdy energia atomowa niezwykle zgęszczona, którą będzie można przewozić i używać bez kłopotu w dowolnych miejscach świata, zastąpi energię uzyskiwaną z węgla, drzewa, nafty, spadku wody?

Wtedy zmienią się zasadniczo środki produkcji, zmienią się maszyny, zmieni się stosunek i zależność ludzi od miejsc, w których znajdują się dotychczasowe najważniejsze złoża mineralne.

Bogactwo kraju nie będzie zależało od kopalń węgla i pokładów nafty, ale bardziej niż dotychczas od wiedzy, zdolności i umiejętności posługiwania się tym znacznie bardziej ruchomym źródłem energii, niż jest nim węgiel i nafta. Słowem stoimy w przededniu rewolucji środków produkcji co najmniej tak samo wielkiej, jak przejście z kamienia ciosanego na obróbkę metali, z mięśnia ludzkiego jako źródła energii na węgiel i naftę, z ręki ludzkiej jako narzędzia na maszynę parową i motor elektryczny.

W myśl samejże teorii Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina ta zmiana środków produkcji musi pociągnąć za sobą zmianę ustroju gospodarczego i socjalnego, a co za tym idzie powstanie nowych teorii socjalnych i próby nowego urzędzenia świata.

Skoro zaś ustrój marksistowsko-komunistyczny jest wynikiem dzisiejszego stanu produkcji, skoro rewolucja marksistowska, oparta na teorii zrodzonej w wieku dziewiętnastym, chce do niej dostosować świat na dzisiaj i na przyszłość, tedy pytamy się — zawsze jeszcze idąc tokiem myśli marksistowskiej w ujęciu Lenina i Stalina —, czy nie jest ta teoria przypadkiem już przestarzała? Czy przyjmu-

jąc nawet, że odpowiada ona rzeczywistości i koniecznościom stanu środków i sposobów produkcji dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku, nie straci ona już w najbliższych czasach tego znaczenia na skutek rewolucji środków produkcji, wywołanej odkryciem energii atomowej? Nie umiemy i nie możemy nawet sobie jeszcze dzisiaj wyobrazić, jak będzie wyglądał świat np. za lat sto, a może już nawet za lat pięćdziesiąt. Bardzo być może, że w tym czasie już wielu ludzi będzie mogło mieć u siebie w zbiornikach tak niewielkich, że będą je mogli zabierać ze sobą, zapasy energii tak ogromne, iż będą oni w stanie rozwijać działalność swoją i produkcję wszędzie tam, gdzie dotychczas trzeba było budować ogromne urządzenia, piece, huty i.t.d. Świat zmieni się ogromnie. Kto wie, czy w ogóle istnieć będzie "proletariat" w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, jako wielkie zbiorowisko ludzi, zgromadzonych na jednym miejscu, górnicy dokoła kopalni, robotnicy dokoła olbrzymich fabryk. Wystarczy kilka lub kilkanaście takich ośrodków. Więzy między tymi skupiskami a człowiekiem indywidualnym rozluźnią się, człowiek jako indywidualium mniej się stanie zależnym od ogromnej maszyny gospodarczej. W tych warunkach "dyktatura proletariatu" może okazać się fikcją dlatego właśnie, że proletariatu w dotychczasowym tego słowa znaczeniu przestanie istnieć. Na odwrót prawa może odzyskać rozsądny indywidualizm jednostki, która usamodzielniając się gospodarczo, stworzy dla siebie możliwości znacznie bardziej niezależnego rozwoju.

\*

Wewnętrzna zasadnicza sprzeczność myśli marksistowskiej w ujęciu zwłaszcza bolszewickim polega właśnie na tym, że głosi ona, iż historia ustrojów społecznych i myślenie ludzka są wyłącznie wynikiem dokonywających się przemian gospodarczych i wobec tego ustroje te same muszą się zmieniać, a jednocześnie dąży ona w drodze wyraźnego gwałtu, nie patrząc na miliony ofiar i na morze łez i krwi, do urzędzenia świata tak, jak gdyby dzisiejszy stan gospodarczy, a ściślej mówiąc stan gospodarczy z drugiej połowy dziewiętnastego wieku i z przełomu wieku dziewiętnastego na dwudziesty miał trwać o ile nie wiecznie, to w każdym razie nieskończenie długo.

Tymczasem ta wiedza i nauka, która jest tej teorii według Lenina i Stalina ostatecznym sprawdzianem, z wszelką pewnością obali niezadługo dzisiejsze warunki gospodarcze, a z nimi razem obalić musi — zawsze zgodnie z myślą marksistowską — koncepcję ustroju społecznego na tych warunkach opartą. Ustrój ten zrealizowany został w pełni jedynie w Rosji, i to w drodze najbezwzględniejszej dyktatury, jaką kiedykolwiek świat widział. Nim by nawet zdołał opanować cały świat, rozwój i zmiana środków produkcji dokona się napewno. W imię czego ta straszliwa i potworna, wtrącająca miliony ludzi w nieszczęście, dążność do stworzenia ustroju, który się musi rozwalić, bo wkrótce nie będzie odpowiadał rzeczywistości?

#### PRZECIWIW NATURZE LUDZKIEJ

Nie odpowiada on rzeczywistości poza tym i dzisiaj, bo jest przeciwny najgłębiej zakorzenionym instynktom człowieka i naturze ludzkiej. Człowiek jest i pozostanie jednostką w sobie zamkniętą, chociaż by stwarzano dla niego warunki, które mają go jako jednostkę zniszczyć. Jednostronne, niepełne typy człowieka można by tylko stworzyć, przyste-

pując śladem niektórych owadów do różniczkowania i zmiany fizycznego typu jednostek i tworzenia poszczególnych kategorii ludzi, przeznaczonych do wykonywania pewnych tylko zadań, jak w społeczeństwach mrówek, pszczoł i termitów, drogą wywoływania atrofi czy też hipertrofi poszczególnych gruczołów dokrewnych i organów. Były co prawda pewne w tym kierunku ślady w hitleryzmie, wątpimy jednak, czy kiedykolwiek dążenia te zdołają się rozwinąć. Człowiek jako jednostka okaleczyć się nie da ani fizycznie ani duchowo.

\*

Bolszewizm dzisiaj już wyszedł poza początkowe swoje granice. Mówiono o dyktaturze proletariatu nad klasami posiadającymi, Ale klas posiadających już dzisiaj w Rosji nie ma, a dyktatura trwa. Czemu i nad kim? Trwa ona nad każdą jednostką poszczególną i nad całym narodem, który został przemieniony w proletariatu w rozumieniu zupełnej zależności gospodarczej od pracodawcy. W dawnym ustroju kapitalistycznym jednostka mogła bądź co bądź pracodawcę zmieniać i mogła pośród nich wybierać. Jednak zmieniać ona ich już nie może w ustroju, w którym istnieje tylko jeden ośrodek dyspozycji gospodarczej, to jest państwo. Dyktatura zaś trwa dlatego, że bez dyktatury odzyskają natychmiast prawa instynkty wolnościowe jednostki ludzkiej, których się z pełnego człowieka absolutnie wydrzeć nie da. Masa dziedziczna człowieka bowiem nie zmienia się, jak stwierdza nauka biologii, co powinno być argumentem nawet dla bolszewików. Nie zmienia się nawet u mrówek i termitów, bo zmiany na poszczególne typy dokonują się dopiero przez wpływanie na rozwój już po złożeniu jajka. Z tego samego przecież jajka wychować można zarówno królową-matkę, jak i bezpłciową robotnicę. Gdyby zdołano nawet zniszczyć całą cywilizację i wszelkie jej ślady, gdyby zniszczono wszystkie książki i biblioteki, gdyby nawet zdołano przeciąć nić tradycji ustnej, rozwój człowieka rozpocząłby się znowu w kierunku krystalizacji jednostki indywidualnej. Na to nie ma żadnej rady. Można, tylko gwałtem i to gwałtem bez przerwy stosowanym, rozwój ten zdławić. Najlepszy dowód, że w Rosji każde, chociaż najślabsze rozluźnienie ciśnienia dyktatury totalnej natychmiast wyzwala te dążenia, i to zarówno gospodarcze jak i umysłowe. Ostatnie gwałtowne czystki w rosyjskim świecie literackim i kolchozach są tego wyraźnym przykładem.

\*

Trzeba się w ogóle porozumieć, co to jest własność prywatna, i co oznacza zniesienie tej własności, spoglądając na to zagadnienie z innego punktu widzenia, niż to się zwykle dzieje.

Tym punktem widzenia nie są tylko sprawy gospodarcze, ale w ogóle rozwój człowieka. Zagadnienie bowiem własności prywatnej wybiega poza granice gospodarcze i o tym się zwykle zapomina. Wiemy wszyscy, że w ustrojach bardzo prymitywnych, na niskim bardzo stopniu kultury i cywilizacji, własność prywatna jest bardzo słabo rozwinięta. Dążność do niej jest tym większa, im bardziej jednostka ludzka jest bardziej wyształcona jako indywidualium. Własność prywatna jest ściśle związana z rozwojem indywidualności człowieka. Nie stojąc na stanowisku Marksa, że procesy duchowe są tylko wynikiem i odzwierciedleniem procesów materialnych, musimy jednak uznać, że istnieje związek między tymi procesami i wzajemna ich na siebie

oddziaływanie, wynikające chociażby z tego, że duch i ciało są najistotniej ze sobą połączone. Wzajemne oddziaływanie na siebie procesów duchowych i materialnych nie ulega wątpliwości dla nikogo, kto trzeźwo myśli. Dlatego i wykształcenie indywidualności człowieka musi mieć wpływ na jego stosunek do dóbr materialnych. Idzie to tak daleko, że przerosł indywidualizmu, wyrażającego się w bezwzględny i nieograniczony egoizm i egoryzm, wyraźnie odzwierciedla się również w przerosłach indywidualnego władania gospodarczego, które nie liczy się wtedy z prawami innych do dóbr gospodarczych. Wybujałemu indywidualizmowi w ostatnim okresie dziejów odpowiadało niesprawiedliwe skoncentrowanie dóbr materialnych w ręku niektórych tylko, najsilniejszych jednostek i krzywdą innych. Do pewnego stopnia teorii komunistycznej były i są reakcją na te przerosty. Ale reakcja ta przekroczyła wszelką miarę. Posunęła się ona aż do sprzeciwienia się w ogóle istnieniu jednostki indywidualnej, uderzając w gospodarce podstawy jej istnienia i znosząc w praktyce zupełnie własność prywatną. Tymczasem własność prywatna jest materialną podstawą istnienia jednostki wolnej.

\*

Przerost własności prywatnej, niesprawiedliwy jej podział, jest nie tylko niesprawiedliwością gospodarczą, ale oddziałuje wybitnie na zwyrodnienie indywidualności jednostek. Stają się one przez to społecznie szkodliwe. Temu należy, rzecz prosta, przeciwdziałać przez tak rozumne ustalenie podziału dóbr materialnych, ażeby przerosty takie hamować. Z tego punktu widzenia potrzebne są takie ograniczenia własności prywatnej, które by niesłuszny a jednostronny i niesprawiedliwy rozkład dóbr gospodarczych uniemożliwiały. Pewne ograniczenia takie istniały zresztą już dawniej, bo inaczej nie mogłoby istnieć zorganizowane społeczeństwo i państwo. Jednakże zasada, znosząca w ogóle własność prywatną albo ograniczającą ją do nieistotnych resztek, niszczy w ogóle jednostkę ludzką, jako taką, znosi jej wolność i jest przeciwna naturze człowieka, który, niech kto twierdzi co chce, im bardziej jest rozwinięty tym bardziej czuje się zawsze sobą i posiada po prostu świadome siebie "ja".

Z ludzi stwarza się wtedy stada niewolników, nie mogących oprzeć się najokrutniejszym zarządzaniem. Kto bowiem nie ma prawa do rozporządzania rzeczywistą indywidualną własnością dóbr gospodarczych, ten jest najzupełniej zależny od organizacji państwa. Państwo to przetrada się szybko w organizm, przypominający państwo termitów. Jednostka staje się najzupełniej bezbronna, bo wszelki sprzeciw pozbawia ją po prostu jadła i napoju. W państwie termitów istnieją grupy, które nawet fizycznie nie są zdolne do samodzielnego odżywiania się i giną z głodu, gdy nieznaną jeszcze głową tego państwa w sposób równie jeszcze dzisiaj nieznaną zakazuje je robotnikom karmić. Badacze owadów znają te rzeczy dokładnie. U człowieka rozwój ciała — jak na dzisiaj przynajmniej — nie stwarza różniących się od siebie fizycznie grup tego rodzaju. Nie posunęliśmy się jeszcze do tworzenia typów ludzkich, mających tylko jednostronne zadania i tylko do nich fizycznie przystosowanych. Ale już dzisiaj w społeczeństwach, w których zniesiono własność prywatną, istnieją grupy, które w pewnej chwili rozkaz państwa skazuje na wymarcie, albo całkowite albo częściowe. Rozkaz taki w stosunku do jednostek działa zawsze, gdy zdradzą one dążność do wolnego indywidualnego rozwoju. Zmono-

polizowanie przez państwo środków produkcji pozbawia je po prostu pracy i chleba, o ile państwo pracy im odmawia. Mają one wprawdzie, nie tak jak pewne grupy w społeczeństwach termitów, narządy do jedzenia, ale nie mogą tego jedzenia żadnym sposobem zdobyć. W praktyce więc tam, gdzie nie istnieje własność prywatna, gdzie innym słowem człowiek nie może żadnym sposobem zapewnić sobie chociażby jakiejś takiej niezależności gospodarczej, wolności człowieka, wolności rozwoju indywidualnego nie jest możliwa. I w tym leży nie tylko materialne, ale nawet *duchowe* znaczenie istnienia albo nieistnienia zasady własności prywatnej.

### Ludzie Najbardziej Niebezpieczni

Najniebezpieczniejszymi ludźmi na świecie, tymi, którzy wtrącają ludzkość na dno nędzy i rozpacz, nie są kryminaliści. Na kryminalistów są mimo wszystko sposoby. Groźbą największą i najstraszniejszą są ci ludzie, którzy uwierzyli w utopię. Utopią jest niewątpliwie raj na ziemi. Tylko ludzie w istocie prymitywni, u których rozwój wielkich nieraz zdolności umysłowych nie idzie w parze z wewnętrzną głęboką mądrością i dojrzałością i którym przede wszystkim brak istotnego zrozumienia rzeczywistości, mogą uwierzyć w możliwość wcielenia w życie utopii. Bywają oni nawet często wielkimi realistami w metodzie, a nawet realizm ten jakby się w tej metodzie koncentrował, opuszczając za to najzupełniej samą koncepcję. Otóż rosyjski komunizm ma wszelkie cechy utopii i na tym właśnie polega jego głębokie niebezpieczeństwo i tragedia. Nie ulega wątpliwości, że Lenin był szczerzy, tak jak szczerzy są liczni bolszewicy, widzący w jego koncepcji i teorii rozwiązanie wszystkich zagadnień na świecie. Jednak u Lenina i bolszewików niezwykły realizm w metodzie postępowania, niezwykle szczegółowe przemyślenie taktyki, idzie w parze z prymitywizmem i jednostronnością koncepcji zasadniczej. Właśnie dlatego, że uwierzyli ono w utopię, nie liczą się oni z nikim i z niczym, a już najmniej z człowiekiem, który stanowi zagadnienie wcale nie prymitywne, ale niesłychanie złożone. Nie rozumieją oni przede wszystkim, że nigdy nie stworzą raju na ziemi, a tymczasem płacą za niego napróżd wszelką cenę, wierząc, że tym sposobem raj ten urzeczywistnią. Nie rozumieją oni człowieka, ani nie wiedzą, co to jest człowiek, chociaż doskonale znają niektóre jego cechy, i to właśnie cechy wynikające z jego materialnych instynktów. Jest to logiczne u materialistów. Dzięki temu rozbudowali oni tak doskonale system postępowania taktycznego.

Mówiono zawsze o pryncypialności umysłu rosyjskiego. Pryncypialność ta nie rozumie względności i współzależności rzeczy na świecie i zawsze skłonna jest do uznania teorii i myśli w istocie względnej za absolutną. Ta skłonność do podnoszenia pewnych teorii jednostronnych do godności nienaruszalnych dogmatów, mających objąć *całość*, ta niezdolność do zdania sobie sprawy z tego, że rozmaite teorie mogą być niezwykle interesujące, że mogą nawet zawierać części słuszności, jednak właśnie tylko część i tylko w określonych warunkach, ale nie mają znaczenia wiecznych praw i prawd, skoro nic jeszcze, co człowiek dotąd wymyślił, nie okazało się prawdą absolutną i niezmienną, jest jednocześnie bardzo prymitywna — i bardzo rosyjska. Teoria komunistyczne powstały przeciw na "zgniłym Zachodzie" i to zwłaszcza we Francji,

MICHAŁ STACHNIK

## JEST WIĘCEJ PRZESTĘPSTW WŚRÓD PISARZY SOWIECKICH

OPINIA anglosaska została, o ile mi wiadomo, dość pobieżnie poinformowana o wydarzeniach w sowieckim świecie pisarskim. Chyba nie dość wyraźnie zostało przedstawione, że liczba "przestępców" wśród pisarzy sowieckich jest znacznie większa, niż wynikałoby to z samej afery leningradzkiej. Następnie, nie dość również wyraźnie, jak mi się wydaje, została przedstawiona treść "przestępstw". Są to powody, dla których warto powrócić do sprawy obecnej "czystki" w sowieckim świecie literackim.

Temat "czystki" w sowieckim świecie sztuki i literatury jest bardzo obszerny. W uzupełniającej nawet charakterystyce tego tematu trzeba pominąć niektóre ważne zagadnienia. Do takich zagadnień — pominiętych w niniejszym artykule i odłożonych do następnych, ewentualnie, artykułów — należy "czystka" w dziedzinie teatru i filmu oraz sprawa *corpus delicti*. W bieżącym artykule poruszam sprawę procedury — niezmiernie charakterystycznej — jaka została zastosowana w "spontaniznym" podciąganiu poziomu literatury sowieckiej, oraz sprawę liczebności grona "przestępców", wymienionych wyraźnie po imieniu, i, wreszcie, sprawę treści zarzutów pod adresem

ale stara kultura francuska nie zrobiła z nich absolutu, podobnie jak nie podniesiono do godności absolutu teorii rasistowskich, które również powstały we Francji (Vacher de Lapouge, Gobineau). Trzeba było Rosjan dla komunizmu i prymitywnych w istocie umysłów Hitlera i jego otoczenia dla rasizmu, ażeby z teorii tych stworzyć mit absolutu. W Rosji pozostałości ustrojowe komunizmu prymitywnego, które gdzie indziej zupełnie już zanikły, a w Niemczech mania wielkości, wywodząca się z zastarzałego kompleksu niższości germańskiego prymitywu w stosunku do kultury rzymskiej, stworzyły dla tego rozwoju właściwe podłoże.

Obydwa prądy i wyobrażenia świata mają każdy w swoim rodzaju wszelkie cechy utopii. Mimo realizmu i wielkiej nieraz logiki w działaniu budowały one, względnie budują jeszcze gmach, który przez swoją jednostronność odchyła się od rzeczywistości istotnej. Po pewnym czasie napotykając opór rozpoczynają one walkę z rzeczywistością, usiłując ją wtłoczyć siłą w swoje ramy, z czego wynikają najstraszniejsze cierpienia człowieka i ludzkości.

Utopia może być nieszkodliwa i interesująca, a nawet oddziaływać do pewnego stopnia pobudzająco na dążenia człowieka, póki nie zostanie uznana za absolut. Wtedy zaczyna się tragedia. Utopią jest niebo na ziemi. Stąd ten, kto gwałtownie chce niebo stworzyć na ziemi, ponieważ nic innego poza ziemią i materią nie jest w stanie dojrzeć, stwarza w istocie tylko piekło.

ANDRZEJ TOMICKI

obecnej literatury i wymagań, jakie są jej stawiane.

Właściwa akcja obecnej "czystki" została rozpoczęta uchwałą Centralnego Komitetu Wszeczwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). W uchwale tej zostali napiętnowani — o ile chodzi o pisarzy — głównie Zoszczenko i Achmatowa, a ponad to Sadofiew, Komissarowa, Jagdfield, Sztiejn, Warszawskij, Riest, Słonimskij, Chazin, Jurij Gierman. Napiętnowano również redaktorów czasopism *Gwiazda* i *Leningrad* — Sajanowa i Lichariewa, prezesa Związku Sowieckich Pisarzy — Tichonowa, oraz leningradzki miejski komitet Partii (*gorkom*) w osobach Kapustina i Szirokowa (zob. miesięcznik *Bolszewik*, nr. 15, 1946 r.).

Po tej uchwale Centralnego Komitetu W.K.P. (b) odbyły się zebrania — "aktywu" Partii w Leningradzie oraz pisarzy tego miasta. Na zebraniach tych Żdanow — jeden z sekretarzy C.K.W.K.P. (b) — wygłosił znane przemówienie (zob. *Prawdę*, nr. 225, 1946 r.).

Wspomiane zebranie "aktywu" Partii i pisarzy w Leningradzie przyjęło rezolucję, potępiającą przestępców i obiecującą stanie na straży wierności literatury sowieckiej zadaniom ustroju sowieckiego. Pisarze leningradzcy denuncjują przy tej okazji paru swoich kolegów, jak Bergolc, Orłow, Dobin (*Trud*, nr. 198, 1946 r.).

W tym stadium afery zostały już wmieszane w nią następujące czasopisma: *Gwiazda*, *Leningrad*, *Leningradzka Prawda*, *Zmiana*, *Wieczorny Leningrad* i t.d.

Najciekawszym punktem całej afery była uchwała prezydium Związku Sowieckich Pisarzy z dnia 4 września 1946 r. (*Izwestia*, nr. 212 z 1946 r.), w której zostali zadenuncjowani jeszcze inni pisarze sowieccy i zostały napiętnowane jeszcze inne czasopisma sowieckie. Mianowicie do dotychczasowej listy "przestępców" dorzucono nowe nazwiska: Pasternak, Gładkow, Rojtanow, Nilin, Wodopianow, Liptiew, bracia Tur, Pogodin, Iwanow, Wielednickij, Kiersanow, Siergiejew-Cienskij, Mieżyrow, Antokolskij i t.d. Napiętnowano — w ten sam sposób, co pisma leningradzkie *Gwiazda* i *Leningrad* — szereg czasopism moskiewskich, jak: *Sztandar*, *Październik*, *Nowy Świat*, *Plomyczek*, *Gazeta Literacka*, *Sztuka Sowiecka* i t.d. Okazuje się z tego spisu czasopism napiętnowanych, że wszystkie, a w każdym razie najważniejsze literackie czasopisma sowieckie weszły na manowce z punktu widzenia zadań, jakie stawia przed nimi system sowiecki. Redaktorzy tych czasopism — Tarasienkow, Surkow, Spasskij i inni — zostali napiętnowani.

Jest to w zwyczaju sowieckim, że władza centralna — C.K.W.K.P. (b) — daje początek ruchom "spontanicznym": oburzenia, poparcia i t.p. ze strony społeczeństwa. Po odpowiednich uchwałach C.K.W.K.P. (b) następują masowe uchwały różnych organizacji i komórek organizacyjnych, idące w tym samym kierunku, co uchwały C.K.W.K.P. (b). I w tym wypadku zaczęło się od uchwały C.K.W.K.P. (b) z dnia 14 sierpnia, a za nią poszły uchwały "spontaniczne". W każdej uchwale obywatele, którzy ją podejmują, starają się wykazać swoją czujność i wierność, prześcigają się w denuncjowaniu swoich współobywateli i współtowarzyszy w zawodzie. Tak postąpili pisarze leningradzcy oraz Związek Sowieckich Pisarzy. Lecz na tym nie koniec.

Odbyło się zebranie pisarzy moskiewskich (*Prawda*, nr. 225 z 1946 r.), którzy nie pozostali dłużni, powzięli odpowiednią uchwałę i również zajęli się denuncjacjami, wymieniając nowe nazwiska "przestępców", jak: Bek, Grossmań, Panaficrow . . .

Analogiczne zebranie pisarzy odbyło się również w Kijowie (*Prawda*, nr. 209 z 1946 r.). Pisarze kijowscy powzięli odpowiednią uchwałę i wymienili nowe nazwiska w swojej denuncjacji: Masłow, Kiriluk, Smilianskij, Kundzica, Czeredniczenko, Kowalenko, Pilguk, Lazarewskij, Pancz, Grodzkoj i t.d. Napiętnowano szereg czasopism literackich sowieckiej Ukrainy oraz ich redaktorów: *Ojczyzna* (red. Janowski), *Dniepr* (redaktorowie Małyško i Kryżaniwski), *Radziecki Lwów* (redaktorowie Bażan i Kozłaniuk).

Tę listę "przestępców" i "przestępczych" czasopism można ciągnąć i ciągnąć, bowiem pisarze każdego niemal większego miasta i każdej niemal narodowości starali się dorzucić jakieś nazwisko ze swego środowiska do tej właśnie listy. Ta "spontaniczna czystka" jest w toku.

Jakie są — najogólniej biorąc — zarzuty, stawiane pisarzom sowieckim, i czego się od literatury sowieckiej wymaga? Odpowiem na to pytanie przykładowo, cytując niektóre ustępy z odnośnych uchwał i przemówienia Zdanowa:

(1) " . . . W piśmie zaczęły pojawiać się utwory, które kultywowały ducha uniżoności w stosunku do współczesnej burżuazyjnej kultury Zachodu, ducha, niewłaściwego ludziom sowieckim . . ." (Uchwała C.K.W.K.P. (b) z dnia 14. VIII. 1946 r., czasopismo *Bolszewik*).

" . . . Niewłaściwy ludziom sowieckim duch uniżoności wobec burżuazyjnej kultury Zachodu, napiętnowany postanowieniem C.K.W.K.P. (b), występował szczególnie wyraźnie w dziedzinie dramaturgii. Bezwstydy fakt adaptacji przez dramaturga Aleksandra Gładkowa powieści burżuazyjnego pisarza, jakoby o współczesnych ludziach sowieckich ("Noc noworoczna"), jest najbardziej jaskrawym tego przykładem. Wydawnictwo *Sztuka* wydało zbiór mało wartościowych wulgarnych sztuk jednoaktowych, pióra współczesnych angielskich i amerykańskich dramaturgów, zatruwających świadomość naszych ludzi światopoglądem, który jest wrogi społeczeństwu sowieckiemu . . ." (Uchwała Związku

Sowieckich Pisarzy z dnia 4. IX. 1946 r., *Izwiestia*, nr. 212).

(2) " . . . Kierowniczy współpracownicy czasopism, a przede wszystkim ich redaktorzy t.t. Sajanow i Lichariew, zapomnieli o założeniach leninizmu, że nasze czasopisma, bez względu na to, czy są naukowe, czy artystyczne, nie mogą być apolityczne. Zapomnieli oni, że nasze czasopisma są potężnym środkiem państwa sowieckiego w wychowywaniu ludzi sowieckich, a w szczególności młodzieży i dlatego powinny kierować się tym, co stanowi życiową podstawę ustroju sowieckiego, t. zn. kierować się jego polityką. Ustrój sowiecki nie może znosić wychowywania młodzieży w duchu obojętności wobec polityki sowieckiej, w duchu bezideowości i naplewizmu (od słowa *naplewat* — t. zn. napłuć — nasz przyp.).

Siła literatury sowieckiej, najprzedniejszej literatury w świecie, polega na tym, że jest ona literaturą, która nie ma i nie może mieć innych interesów, jak interesy narodu i interesy państwa. Zadania sowieckiej literatury polegają na tym, aby pomóc państwu w prawidłowym wychowywaniu młodzieży, odpowiadać na jej pytania, wychowywać nowe pokolenie męznym, wierzącym w swoją sprawę, nie bojącym się przeszkód, gotowym do pokonywania wszelkich przeszkód.

Dlatego wszelkie głoszenie bezideowości, apolityczności, "sztuki dla sztuki" jest obce sowieckiej literaturze, szkodliwa dla interesów narodu i państwa sowieckiego i nie powinno mieć miejsca w naszych czasopiśmie . . .

" . . . Zarówno redakcja *Gwiazdy*, jak i redakcja *Leningradu* popełniły gruby błąd, opublikowały szereg utworów, przesiąkniętych duchem uniżoności w stosunku do wszytkiego, co jest zagraniczne . . ." (Uchwała C.K.W.K.P. (b) z 14 sierpnia 1946 r., *Bolszewik*, nr. 15).

(3) " . . . Nie jest kwestią przypadku, że w czasopiśmie literackich Leningradu zaczęto zachwycać się współczesną, mało wartościową literaturą Zachodu. Niektórzy nasi literaci zaczęli uważać siebie nie za nauczycieli ale za uczniów burżuazyjno-mieszczańskich literatów, zaczęli przechodzić na ton uniżoności w stosunku do mieszczańskiej zagranicznej literatury. Czy do twarzy nam — sowieckim patriotom — taka uniżoność, nam, którzy zbudowaliśmy ustrój sowiecki, który jest stokrotnie lepszy i wyższy od jakiegokolwiek innego ustroju? Czy do twarzy naszej literaturze, najbardziej przodującej i rewolucyjnej literaturze w świecie, uniżoność wobec ograniczonej mieszczańsko-burżuazyjnej literatury Zachodu?

Wielkim brakiem w pracy naszych pisarzy jest również oddalenie się od współczesnej sowieckiej tematyki, jednostronne uwodzenie się tematyką historyczną z jednej strony, oraz chęć zajmowania się tematami czysto rozrywkowymi i pusto-próżnymi z drugiej. Niektórzy pisarze, dla usprawiedliwienia swego opóźnienia się w stosunku do wielkich, współczesnych sowieckich tematów, mówią, że nastął czas, aby dać narodowi pustą, rozrywkową literaturę, gdy o ideowość literatury można się nie troszczyć. Jest to głęboko nieścisłe przedstawianie naszego narodu, jego zagadnień i zainteresowań. Naród nasz oczekuje, aby pisarze sowieccy przemyśleli i uogólnili wielkie doświadczenie, które naród zdobył w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, aby przedstawili oni i uogólnili ten heroizm, z jakim naród obecnie pracuje nad odbudowaniem gospodarstwa narodowego kraju po wygnaniu wrogów . . ." (Przemówienie Zdanowa, *Prawda*, nr. 225 z 1946 r.).

(4) " . . . Wielkim brakiem prac prezydium Związku Sowieckich Pisarzy i zarządu Związku

jest słabe kierowanie literaturą narodów, które należą do Z.S.S.R., co doprowadziło do odrodzenia się w poszczególnych literaturach tendencji burżuazyjno-nacjonalistycznych (np. szkice Kiriliuka o historii literatury ukraińskiej, wyolbrzymienie epeji chańsko-feudalnej o Edygeju w literaturze tatarskiej i baszkirskiej). Teoretyczna praca krytyków w republikach związkowych jest zaniedbywana. U niektórych pisarzy narodów Z.S.S.R. występuje tendencja, co należy zaznaczyć, ucieczki od złożonych tematów współczesności do dalekiej historycznej przeszłości . . ." (Uchwała Związku Sowieckich Pisarzy z dnia 4 września 1946 r., *Izwiestia*, nr. 212).

(5) " . . . Znane rozprzestrzenienie zyskała wśród pisarzy szkodliwa teoria, że rzekomo jest nieprawidłowo żądać od współczesnych pisarzy dostojnych utworów o naszych dniach, że rzekomo takie utwory mogą ukazać się dopiero w przyszłości. Ta szkodliwa i mętna teoryjka, deptająca ordynarnie tradycje wielkiej, demokratycznej literatury rosyjskiej, która na całej przestrzeni swojej historii była przodownicza i aktualna, — nie spotkała się z odparciem w prasie. Nie otrzymało należytego potępienia również wystąpienie I. Selwskiego, który proponował "zastąpić" socjalistyczny realizm, jako metodę twórczości artystycznej, "socialistycznym symbolizmem". Ukraiński pisarz Piotr Pancz wystąpił z "teorią" o "prawie pisarza do błędu". Ta "teoria" otwiera drzwi do przenikania do literatury obcych wpływów. I ona również nie otrzymała właściwego zakwalifikowania ze strony krytyków literackich . . ."

(6) " . . . Krytyka zupełnie niedostatecznie kieruje się w swojej robocie praktycznej genialnymi pracami i wskazaniem Lenina i Stalina w dziedzinie literatury i sztuki . . . Niezbędny jest gruntowny przełom w życiu ideowym i pracach Związku Pisarzy . . ." (Uchwała Związku Sowieckich Pisarzy z dnia 4 września 1946 r., *Izwiestia*, nr. 212).

Nie ma już miejsca na przytaczanie dalszych cytów, chociaż niektóre z nich są bardzo interesujące.

Co może kryć się za oficjalnymi słowami nagany, potępienia, wyklęcia, jakimi jest los tych biednych ludzi — pisarzy sowieckich, którzy nie potrafili należycie służyć systemowi? Niektórych, uznanych za bezużytecznych, za nie nadających się do wyzyskania kiedykolwiek, może czekać śmierć albo dogorywanie w jakimś obozie koncentracyjnym. Większość jednak chyba nawróci się i nauczy się właściwie służyć systemowi. Większość chyba bez zwłoki uderzy w ton pokory. Ale pokora musi być zupełna, by zadowolili przywódców. Lecz i pokora może nie wystarczać. Tak na przykład było z pisarką W. Czeredniczenko w Kijowie:

" . . . Wielu nie mogło zadowolić przemówieniem pisarki W. Czeredniczenko, która po obywatelsku przyjęła krytykę jednego z jej opowiadań . . ." (*Prawda*, nr. 209 z 1946 r.).

No, a oczywiście na nic nie mogą już liczyć tacy, jak J. Mokriejew, również z Kijowa:

" . . . Dziwnie dziwięczało na zebraniu wystąpienie J. Mokriejewa, starającego się obrócić w żart krytykę jego humorystycznych utworów . . . Mówcy na zebraniu nazwali te utwory nikczemnymi, zawierającymi oszczerstwa na naszą rzeczywistość . . ." (*Prawda*, nr. 209 z 1946 r.).

GILBERT KEITH CHESTERTON

## TRZECH JEŹDZCÓW APOKALIPSY

**Od Redakcji:** Nowela znakomitego pisarza angielskiego, której tłumaczenie, z pewnymi skrótami, zamieszczamy poniżej, o ile nam wiadomo nie została dotąd nigdy przełożona na język polski. Stanowi ona pierwszą część zbioru opowiadań pt.: *The Paradoxes of Mr. Pond*, który ukazał się już po śmierci Chestertona, w r. 1937, nakładem londyńskiej firmy wydawniczej *Cassell and Co.* W narysowaniu jej tła krajo-brazowego autor kierował się czystą fantazją. Jak wynika ze wstępu do opowiadania (pominiętego przez nas z powodu braku miejsca), miastem, o którym mowa w noweli, jest Poznań; miasto to otoczone jest bagnami, przez które wiedzie do niego od zachodu jedna tylko wąska droga. Rzecz dzieje się w Wielkopolsce pod pruskim panowaniem; bohaterami opowiadania są wojskowi niemieccy oraz poeta i śpiewak polski rodem z Krakowa, Paweł Petrowski, który, jak Paderewski, przez swą sztukę zdobywa swemu narodowi sławę w świecie.

Dając w ten sposób ujście swej wyobraźni Chesterton rysuje na tym tle bystrą i artystycznie sugestywną charakterystykę pruskiej mentalności i filozofii narodowej. Czytając jego nowelę nie podobna oprzeć się prerażającej refleksji, jak mało jest, zwłaszcza w dzisiejszym świecie, nadziei na odzyskanie owej "szlachetniejszej tradycji narodu niemieckiego", cywilizacyjnie związanej z Zachodem, której przedstawicielami w opowiadaniu są Książę i młody porucznik huzarów *Arnold von Schacht*. Krzepiąca jest za to w noweli Chestertona jego wiara w wieczną żywotność ducha polskiego, którego żadne złe potęgi zmóc nie są zdolne. Nieudana próba zamordowania poety polskiego Petrowskiego jest jak gdyby faktu tego poetyckim symbolem.

**P**AWEŁ Petrowski był jednym z tych najzupełniej niepraktycznych ludzi, którzy jednak posiadają niezwykle znaczenie w praktycznym życiu politycznym. Siła jego leżała w fakcie, że był on nietylko narodowym poetą, ale i międzynarodowej sławy śpiewakiem. Natura obdarzyła go bowiem silnym i pięknym głosem, którym śpiewał swoje pieśni narodowe we wszystkich niemal salach koncertowych świata. W swojej własnej ojczyźnie był on oczywiście pochodnią i lutnią rewolucyjnych nadziei, szczególnie wtedy, w okresie kryzysu międzynarodowego, kiedy to znikają politycy praktyczni, a miejsce ich zajmują ludzie mniej lub bardziej od nich praktyczni. Tak już jest bowiem, że prawdziwy idealista i prawdziwy realista mają co najmniej jedną rzecz wspólną: miłość czynu; polityk praktyczny żyje zaś tylko tym, że zawsze potrafi znaleźć mnóstwo realnych zastrzeżeń co do podjęcia jakiegokolwiek działania. To, co czyni idealista, może być niepraktyczne, a to, co robi człowiek czynu, może być pozabawione skrupułów, zł: pewnym jest, że w żadnym zawodzie nie można sobie wyrobić nazwiska nie robiąc nic zupełnie. Tak się dziwnie złożyło, że te dwa krańcowo różne typy ludzkie znajdowały się w momencie rozpoczęcia tego opowiadania na dwóch przeciwnych końcach drogi prowadzącej wśród bagien — polski poeta jako więzień w mieście, a pruski żołnierz jako dowódca w obozie wojskowym.

Marszałek von Grock był typem prawdziwego Prusaka nie tylko doskonale praktycznego, ale również najzupełniej prozaicznego. Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się przeczytać ani jednej zwrotki poezji — co nie znaczy, aby był głupcem. Marszałek posiadał, tak charakterystyczne dla żołnierza, poczucie rzeczywistości, które nie pozwalało mu na robienie naiwnych błędów polityka praktycznego. Marszałek nie drwił z wizji, lecz odnosił się do nich z nienawiścią, wiedział bowiem, że prorok czy poeta może być również niebezpieczny jak cała armia. I dlatego postanowił, że poeta musi zginąć. Był to zarazem z jego strony jedyny szczerzy komplement pod adresem poezji.

W tej właśnie chwili marszałek siedział przy stole w swoim namiocie. Spiczasty hełm, który zwykł był nosić wobec ludzi, leżał teraz przed nim. Jego ogromna głowa wyglądała jak łysa, tak była starannie wygolona. Oblicza jego nie krył żaden zarost.

Para silnych binokli, jakie nosił, nadawała tajemniczy wyraz jego ciężkiej, obwisłej twarzy. Marszałek zwrócił się właśnie do stojącego opodal porucznika, jasnowłosego Niemca o okrągłej twarzy, którego szklano-niebieskie oczy spoglądały bezmyślnie.

— Poruczniku von Hocheimer, — powiedział — Pan przyniósł wiadomość, że Jego Wysokość będzie w obozie dziś w nocy?

— O siódmej czterdzieści pięć, Panie Marszałku, — odpowiedział porucznik, który wyglądał jak istota mająca odrzę do mówienia w ogóle, lub jak wielkie zwierzę uczące się nowej sztuki wydawania głosu.

— W takim razie właśnie pora wysłać Pana z rozkazem egzekucji, nim Jego Wysokość nadjedzie. Musimy się starać służyć Księżu zawsze, ale specjalnie wtedy, kiedy można mu oszczędzić niepotrzebnego kłopotu. Książę będzie i tak dosyć zajęty przeglądem wojska — postarajcie się, aby wszystko było przygotowane. Jego Wysokość odjedzie na następną placówkę w ciągu godziny.

Tęgi porucznik zdawał się wracać potrochu do życia i złożył ledwo dostrzegalny ukłon. — Oczywiście, Panie Marszałku, wszyscy musimy słuchać Jego Wysokości.

— Powiedziałem, że wszyscy musimy służyć Jego Wysokości — rzekł Marszałek. Ruchem ostrzejszym niż zwykle zerwał binokle i rzucił je na stół. Gdyby niebieskie oczy porucznika mogły w ogóle coś dostrzec, lub gdyby mogły otworzyć się szerzej, niż były rozwarłe, to na pewno zrobiłyby to na widok zmiany spowodowanej tym gestem. Było to bowiem jakby zerwanie żelaznej maski. Minutę przedtem Marszałek von Grock ze swoimi wiszącymi fałdami skóry policzków i podbródka wyglądał jak nosorożec. Teraz zaś przekształcił się w innego potwora, w nosorożca z oczyma orla. Zimny blask jego starych oczu objaśnić mógł każdego, że Marszałek miał w sobie coś więcej niż masę — że coś w nim zrobione było ze stali, a nie tylko z żelaza. Bowiem wszyscy ludzie żyją motorem swego ducha, chociażby to był zły duch, lub jakiś inny, tak nieznamy społeczności chrześcijańskiej, że nie wiadomo wcale, czy nazwać go złym czy dobrym.

— Powiedziałem, że wszyscy musimy służyć Jego Wysokości — powtórzył von Grock —. Powiem wyraźniej: wszyscy musimy starać się ocalić Jego Wysokość. Czyż nie powinno wystarczyć naszemu władcom, że pozostają na piedestale, czyż nie dość im, że są obsługiwani

i chronieni? My jesteśmy właśnie po to, aby im służyć i aby ich osłaniać.

Marszałek von Grock rzadko kiedy mówił lub myślał w sposób, jaki bardziej systematyczni ludzie nazwaliby prawdziwym myśleniem. Znany jest fakt, iż osobnicy tego typu, jeżeli już zdarzy im się myśleć głośno, wolą mówić do psa niż do człowieka. Znajdują oni nawet pewien rodzaj pełnego wyższości upodobania w używaniu długich okresów i wyszukanych argumentów w obecności czworonoga. Nie byłoby jednak sprawiedliwym porównywać porucznika von Hocheimera do psa; byłoby to obrazą w stosunku do tego zwierzęcia, znanego ze swej czujności i wrażliwości. Bardziej zbliżone do prawdy będzie, jeśli powiemy, że von Grock w jednym ze swych rzadkich momentów myślenia na głos miał miłe i bezpieczne uczucie, iż mówi do krowy lub do głowy kapusty.

— Ileż to razy zdarzało się w historii naszego domu królewskiego, że sługa ocalił swego pana, — ciągnął dalej Marszałek — a często całą jego nagrodą był kopniak moralny ze strony świata, który zawsze występuje przeciw ludziom silnym i zwyciężającym. A przecież my, Niemcy, byliśmy silni i zwyciężaliśmy zawsze. Świat potępił Bismarcka za to, że oszukał swego władcę w sprawie dopeszy z Ems, choć depesza ta dała temu władcy panowanie nad połową świata. Paryż został wzięty, a Austria została zdegradowana; my jedynie pozostaliśmy bezpieczni. Dzisiejszej nocy Paweł Petrowski zginie, a my znów będziemy bezpieczni. Dlatego właśnie posyłam Pana z rozkazem egzekucji. Ma Pan rozkaz natychmiastowego stracenia więźnia. Chcę, aby Pan przypilnował jego wykonania.

Hocheimer milcząc zaszutował — rozumiał całą rzecz doskonale. Mimo wszystko miał jednak pewne psie przymioty. Był równie odważny jak buldog; umiał też być wierny aż do śmierci.

— Musi Pan jechać natychmiast, — powiedział von Grock — nie pozwalając sobie ani na chwilę zwłoki. Wiem napewno, że ten dureń Arnheim chce Petrowskiego uwolnić dzisiejszej nocy, jeżeli nie otrzyma innego rozkazu. Proszę się spieszyć!

Porucznik zaszutował powtórnie i wyszedł w ciemną noc. Potem wsiadł na siwego rumaka, który w swej wspaniałości dorównywał wspaniałości korpusu, i rozpoczął jazdę po wysokiej, wąskiej drodze wiodącej grzbietem,



podobnym do krawędzi ściany i górującym nad czarnym horyzontem i spłowiłymi barwami rozległych bagien.

Gdy tylko ostatnie echa podków przebrzmiały, Marszałek von Grock powstał i włożywszy hełm oraz binokle podszedł do drzwi swego namiotu. Oficerowie sztabowi w galowych strojach zbliżali się już ku niemu; zaś od strony odległych szków żołnierskich dochodziły odgłosy donośnych pozdrowień i wydawanych rozkazów. Jego Wysokość Księżę przybywał...

Wygląd Jego Wysokości stanowił żywy kontrast z otoczeniem, przynajmniej zewnętrznie; jeżeli zaś chodzi o inne sprawy, był on też zjawiskiem niecodziennym w swoim świecie. Nosił wprawdzie również spiczasty hełm, ale mający odznaki innego pułku, czarny, połyskujący gdzieś błękitną stałą. Pośród wszystkich tych gładko wygolonych Prusaków to połączenie hełmu z długą, czarną, spływającą w dół brodą wydawało się nieco dziwaczne, ale i zarazem w pewien szczególny sposób harmonizujące z całością osoby Księcia. Jego Wysokość jak gdyby pragnął dostosować swe ubranie do efektu, jaki sprawiała jego długa broda, bo nosił również długą i powłóczystą pelerynę ciemnobłękitnego koloru, ozdobioną jaśniejącą gwiazdą najwyższego orderu królewskiego. Peleryna ta narzucona była na czarny mundur. Mimo iż Niemiec z krwi i kości, Księżę robił wrażenie jakby innego typu Niemca; a pewien rys jego dumnej i roztargnionej twarzy zdawał się potwierdzać legendę, że jedyną prawdziwą namiętnością jego życia była muzyka.

Wiecznie zręczący von Grock skłaniał się do opinii, że ta ekscentryczność Księcia sprawiła, iż Jego Wysokość nie przeszedł od razu do przeglądu oddziałów, które czekały ustawione w labiryntowym szuku niemieckiej etykiety wojskowej. Zamiast przyjmować defiladę Księżę od razu rozpoczął niecierpliwie rozmowę na ten właśnie temat, którego Marszałek pragnął uniknąć za wszelką cenę, — na temat tego przekłętą Polaka, jego popularności i niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował. Księżę bowiem słyszał kiedyś pieśni tego człowieka, wykonywane w wielu salach koncertowych Europy.

— Mówić o straceniu takiego człowieka to czyste szaleństwo — powiedział Księżę, spoglądając chmurnie spod czarnego hełmu. — Poza tym nie jest to zwykły Polak — on jest własnością Europy. Będą go czcili i oplakiwali, i to zarówno nasi sprzymierzeńcy jak i przyjaciele, a nawet sami Niemcy. Czy chce Pan odegrać rolę szalonych kobiet, które zamordowały Orfeusza?

— Księżę, — odpowiedział Marszałek — będą go oplakiwali, to prawda. Ale tym niemniej będzie on już tylko trupem. Będą go czcili — to też prawda; ale nie będzie go już więcej pośród żywych. Jakikolwiek plany żywi ten Polak, nie obloką się one nigdy w ciało. Cokolwiek robi on teraz, nie będzie już miało żadnych następstw. Śmierć jest najbardziej niezaprzeczalnym faktem, jaki istnieje; ja zaś mam szczególną słabość do faktów.

— Czyż nie posiada Pan żadnej znajomości świata, Panie Marszałku? — zapytał Księżę ze zdumieniem.

— Nie dbam o świat, — odrzekł Marszałek — przynajmniej o ten, który rozpoczyna się poza ostatnim czarno-białym słupem naszej linii granicznej.

— Boże Wielki, — wykrzyknął Księżę — Pan potrafiłby z zimną krwią powiesić Goethego, gdyby zdarzyło mu się pokłócić z Weimarem!

— Jeśli dla dobra i bezpieczeństwa naszego domu królewskiego, to bez żadnego wahania — odparł von Grock.

Zapanowało krótkie milczenie, które przerwał Księżę, mówiąc szybko i ostro: — Co to wszystko znaczy? —

— To znaczy, że nie zawahałem się ani na chwilę — odpowiedział Marszałek spokojnie — i sam wysłałem już rozkaz egzekucji Petrowskiego.

Księżę powstał jak gniewny orzeł i zamiótł podłogę skrzydłami ciemnej peleryny. I oto obecni ujrzeni, iż niemy gniew przeobraził Księcia w człowieka czynu. Nie zaszczycił von Grocka ani jednym spojrzeniem. Zawołał natomiast ponad jego głową najgłośniej, jak tylko mógł, na jego zastępcę, generała von Voglen. General ten, silnie zbudowany mężczyzna o kwadratowej czaszce, stał dotąd w głębi z kamienną nieruchomością.

— Kto ma najściąglejszego konia w dywizji kawalerii, Generale? Kto uchodzi za najlepszego jeźdźcę?

— Arnold von Schacht ma kłacz, która zdolna jest pobić każdego konia wyścigowego, — odpowiedział generał — a on sam jeździ jak najlepszy dżokej. Schacht należy do pułku Białych Huzarów.

— To dobrze, — powiedział Księżę tym samym nowym tonem głosu — proszę go wysłać natychmiast. Niech zatrzyma człowieka, który ma przy sobie ten szalony rozkaz. Dam mu upoważnienie, którego chyba nawet zasłużony Marszałek nie zechce dyskutować. Dajcie mi atrament i pióro!

Księżę usiadł, strząsając z ramion pelerynę. Podano mu przybory do pisania. Nowy rozkaz został napisany energicznie i z rozmachem; zawierał unieważnienie wszystkich poprzednich rozkazów i polecenie przywrócenia wolności Polakowi Petrowskiemu.

Zapanowało głębokie milczenie. Stary Marszałek stał sztywno i bez drgnienia powiek, jak jakiś bóstwo kamienne z przedhistorycznych czasów. Jego Wysokość wyszedł z kręgu otaczających go osób wlokąc za sobą pelerynę i szablę. Niezadowolone jego było tak widoczne, że nikt nie ośmielił się przypomnieć o czekającym go przeglądzie wojskowym. Arnold von Schacht, żywy młodzieniec o kędzierzawych włosach i wyglądzie uczniaka, na którego piersi wisiało niejedno odznaczenie, stuknął posłusznie obcasami i wziął złożony papier z rąk Księcia. Potem skoczył na koń i pogalopował wzdłuż wąskiej drogi jak wypuszczona z łuku srebrna strzała.

Marszałek von Grock odszedł spokojnie do swego namiotu. Powolnym ruchem zdjął hełm i binokle i położył je na stole tak jak poprzednio. Potem zawołał ordynansa, który kręcił się przed namiotem, i kazał mu przyprowadzić bez zwłoki sierżanta Schwartza z pułku Białych Huzarów.

W chwilę później pojawił się przed Marszałkiem szczupły rzeźki mężczyzna, cokolwiek zbyt ciemny jak na Niemca i z wielką szramą na twarzy. Bardzo być może, iż cera jego zmieniła barwę pod wpływem wielu lat wojny i niewygód. Zasalutował i stanął sztywno na baczności, podczas kiedy Marszałek zwolna podnosił na niego oczy. Pomimo przepaści, jaka dzieliła cesarskiego Marszałka, zwierzchnika generałów i tego wynędzniałego podoficera, widać było od razu, że ci dwaj ludzie rozumieją się bez słów.

— Sierżancie, — powiedział krótko Marszałek — widziałem was już poprzednio dwa razy. Pierwszy raz kiedy zdobyliście mistrzostwo armii w strzelaniu.

Sierżant zasalutował, lecz nie odczuwał się ani słowem.

— A drugi raz — ciągnął von Grock —, kiedy przesłuchiwało was po zastrzeleniu tej przekłętą wiedźmy, która nie chciała dać nam żadnej informacji o zasadzce. Ten incydent spowodował w swoim czasie wiele niepotrzeb-

nej gadaniny i to nawet w kołach nam oddanych. Protekcja jednakże była po waszej stronie, moja protekcja.

Sierżant zasalutował powtórnie, ale wciąż nie przerywał swego milczenia. Marszałek zaś mówił dalej bezbarwnym głosem, lecz zaskakująco szczerze:

— Jego Wysokość Księżę został źle poinformowany i oszukany w sprawie, która dla jego własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa naszej ojczyzny ma zasadnicze znaczenie. Działając pod wpływem tej pomyłki, Księżę posłał ulaskawienie Polakowi Petrowskiemu, który miał być dziś w nocy stracony. Musicie pojechać natychmiast za von Schachtem, który wiezie to ulaskawienie, i zatrzymać go.

— Nie mogę liczyć na to, że go dogonię, — odpowiedział Schwartz — on ma najszybszego konia w pułku i jest najlepszym jeźdźcą.

— Nie każe ci go doganiać. Masz go zatrzymać — odrzekł Marszałek. Potem już mówił wolniej: — Człowieka można zatrzymać różnymi sposobami, na przykład krzykiem lub strzałem. — Głos von Grocka opadał coraz bardziej, nie ustając jednak ani na chwilę: — Wystrzał z karabinu mógłby zwrócić jego uwagę.

Sierżant zasalutował po raz trzeci. Jego wąskie usta zwięzły się jeszcze bardziej.

— Można zmienić oblicze świata, — powiedział Marszałek — lecz nie za pomocą słów lub takich czy innych opinii, a tylko czynem. Nikt nie może zmienić faktu raz dokonanego. W tym momencie zaś zabicie człowieka jest rzeczą pierwszorzędną wagi. — Tu błysnął oczyma ze stali w słuchającego i dodał: — Mam na myśli oczywiście Petrowskiego.

Sierżant Schwartz uśmiechnął się jeszcze bardziej ponuro. W chwilę później opuścił namiot, wsiadł na konia i odjechał.

Ostatni z trzech jeźdźców miał jeszcze mniej skłonności niż pierwszy do puszczania wodzy swej wyobraźni, ale ponieważ mimo swych niedoskonałości był przecież istotą ludzką, więc nie mógł oprzeć się w takiej nocy i pełniąc taką służbę wrażeniu pewnej szczególnej wrogości otaczającego go krajobrazu. Podczas kiedy jechał wzdłuż jedynego mostu przyszło mu nagle do głowy, że przecież wokół niego rozciąga się coś stokroć bardziej niesamowitego niż most. Coś, w czym człowiek nie mógłby żywać ani sam ani w łodzi, coś co z natury swej przeciwne jest jakiegokolwiek ludzkiej czynności. W błocie można tylko zatonąć, i to prawie bez walki. Sierżant czuł wyraźną obecność tej śliskiej materii, która nie jest ani płynem ani też nie posiada żadnego określonego kształtu, — czuł jej obecność dookoła.

Schwartz był oczywiście ateistą podobnie jak tyle tysięcy prozaicznych, zdolnych ludzi, zamieszkujących Niemcy północne. Nie należał jednak do tej grupy bardziej uprzywilejowanych pogan, którzy widzą w ludzkim postępie naturalny rozkwit świata. Świat, który go otaczał, nie miał dla niego powabu ogrodu, w którym żywe, zielone rośliny wyrastają, rozwijają się i przynoszą owoce; to była raczej bezdenna przepaść, w którą wszystko, co żyje, pogrąży się wcześniej czy później. Ta myśl właśnie zahartowała go do wykonania tych wszystkich dziwnych zadań, jakie mu na tym okropnym świecie przypadały. Szaro-zielone plamy nikłej roślinności, widziane z góry, wyglądały jak rozłożona na stole mapa i przywiodły mu na pamięć wykres przebiegu jakiejś okropnej choroby raczej, niż twórczego rozwoju. Zaś otoczone łądem jeziora mogły być równie dobrze zawierać truciznę jak wodę. Przypomniały mu one niedawny krzyk, jaki podkósł się

wśród humanitarystów na temat zatrucia sadzawek.

Lecz wszystkie te rozmyślenia sierżanta (jak zwykle u ludzi o niezbyt refleksyjnym usposobieniu) tkwiły korzeniem w podświadomym napięciu nerwów i wyostrzonej czujności. Prawdę powiedziawszy, prosta droga rozciągająca się przed nim była nie tylko nieprzyjemna, ale i wydawała się nieskończenie długa. Schwartzowi trudno wprost było uwierzyć, że mógł zjechać aż tak daleko bez zbliżenia się na odległość wzroku do człowieka, którego gonil. Von Schacht istotnie musiał mieć konia szybkiego jak wiatr, by móc oddalić się tak daleko w stosunkowo niedługim czasie, jaki minął od chwili jego wyjazdu. Według wyrażenia samego Schwartz nie liczył on prawie na dogonienie szybkiego jeźdźca. Pewne jednak, bardzo realne poczucie odległości mówiło mu, że niedługo powinien już go zobaczyć. I właśnie wtedy, kiedy wynurzyła się rozpacz, aby roztoczyć swe skrzydła nad opuszczonym krajobrazem, — sierżant Schwartz ujrzał nareszcie swego poprzednika.

Biała plama, powoli rozszerzająca się w kształt białej postaci, pojawiła się z daleka, pędząc w opętanym galopie. Przybliżyła się ona teraz znacznie dzięki wysiłkom Schwartz, który rozpoczął także szaloną jazdę. Biała postać przed nim była już na tyle widoczna, że mógł rozróżnić smugę pomarańczowego koloru na białym mundurze pułku huzarów. Człowiek, który zdobył mistrzostwo armii w strzelaniu, trafił w białe pola o rozmiarze znacznie mniejszym niż ruchoma plama na przodzie.

Schwartz zdjął karabin z pleców, a w chwilę później odgłos wystrzału spłoszył dzikie ptactwo żyjące na bagnach w obrębie paru mil dokoła. Ale sierżant nie dbał o to. Nawet na tę odległość mógł widzieć wyprostowaną białą postać, która nagle zmieniła swój kształt kurcząc się dziwnie na siodle. Jeździec wyglądał teraz jak garbaty i Schwartz ze swym niezawodnym okiem i długim doświadczeniem życiowym był pewien, iż jego ofiara otrzymała śmiertelny postrzał. Był prawie pewny, że trafił ją w samo serce. Drugim strzałem sierżant położył konia trupem; jeździec wraz z koniem zsunęli się z drogi i znikli w bagnie rozciągającym się poniżej.

Sierżant bez wzruszenia zdał sobie sprawę, iż misja jego została spełniona. Ten rodzaj niełatwo wzruszających się ludzi jest zwykle bardzo dokładny w swoich czynnościach; nie jest wyjątkiem, iż to właśnie jest przyczyną, że tak często popełniają oni kapitalne błędy. Schwartz przez swój czyn dopuścił się zniewagi koleżeństwa, które jest duszą organizacji wojskowej. Zabił walecznego oficera wykonującego swą powinność. Oszukał i zlekceważył swego władcę i popełnił zwykły mord bez możliwości usprawiedliwienia go osobistą urazą, ale równocześnie wykonał rozkaz swego przełożonego i pomógł zgładzić Polaka. Na chwilę umysł Schwartz zatrzymał się na tych rozważaniach. W zamyśleniu sierżant zawrócił konia i udał się w powrotną drogę, aby zdać raport Marszałkowi. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do dokładności wykonania rozkazu, jaki otrzymał. Człowiek niosący ulaskawienie napewno nie żył. A gdyby nawet jakimś cudem był jedynie śmiertelnie ranny, to przecież i tak nie mógłby dojechać na swym zdychającym lub niezłym już koniu na czas do miasta, aby przeszkodzić egzekucji. Wydawało się teraz, iż najroztropniej będzie powrócić pod skrzydła opiekuńcze swego protektora i autora tego desperackiego pomysłu. Całą swoją siłę psychiczną sierżant oparł na zaufaniu do potęgi wielkiego Marszałka.

Niewątpliwie potężny Marszałek miał pewne cechy wielkości. Nie pokazał po sobie strachu przed spojreniem w oczy swej zbrodni na miejscu jej spełnienia. Nie uląkł się też kompromitujących możliwości, jakie mogła sprowadzić obecność wykonawcy jego poleceń. W godzinę później obaj z sierżantem byli już w drodze. Zatrzymali się w wiadomym miejscu i Marszałek zsiadł z konia nakazując równocześnie sierżantowi, aby jechał dalej. Miał on pojechać do miasta i zobaczyć, jaki nastrój panuje tam po egzekucji Petrowskiego, i czy nie ma jakiegoś niebezpieczeństwa ze strony wzburzonego tłumu.

— Czyżby to było tu? — powiedział sierżant ściszym głosem — Zdawało mi się, że to było jeszcze dalej. Ale z drugiej strony ta przekłeta droga wydłużała się jak zły sen.

— Tak, to tutaj! — odpowiedział von Grock i zsiadł ciężko z siodła. Potem podszedł ku krawędzi drogi i spojrzął w dół.

Księżyc wszedł ponad błotami i wznosząc się w górę nasycił blaskiem czarne wody, pokryte zieloną rzeszą. W najbliższej kępie trzciny wyrastającej u stóp pochyłości biały koń i biały jeździec leżeli nieruchomo. Identyczność ich nie budziła żadnych wątpliwości. Księżyc oświetlił jasne włosy młodego Arnolda, gońca łaski, i zrobił z nich rodzaj aureoli. Ten sam tajemniczy księżyc skrzył się na złotych guzikach jego munduru, na medalach młodego żołnierza i jego znakach oficerskich. W czarodziejskim jego świetle trup wyglądał jak gdyby miał na sobie srebrną zbroję rycerza Galahada. I nie można sobie było wyobrazić większego i bardziej przejmującego kontrastu niż między tym martwym już wdziękiem i młodością, strąconą w pył, a zwalistą i groteskową figurą patrzącą z wysoka. Von Grock ponownie zdjął hełm. I chociaż nie jest wyłączone, iż miało to być czymś w rodzaju holdu dla zmarłego, to jednak efekt tej łysej głowy i odkrytego karku przywołał raczej na myśl gruboskórne zwierzę z epoki kamiennej. Rops lub który z rysowników czarnych fantastycznych szkół niemieckich mogliby narysować taki obraz: wielka bestia o nieludzkiem wyglądzie patrzy w dół na polamane skrzydła i biało-złotą zbroję jednego spośród pokonanych cherubinów.

Marszałek nie modlił się i nie żałował niczego. Jednak umysł jego był z lekka poruszony, bowiem nawet ciemne bagno może czasem drgnąć jak istota żyjąca. I podobnie jak wszyscy ludzie jego pokroju kiedy czują po raz pierwszy, że przychodzi im bronić się przed czymś nieznanym, — starał się instynktownie sformułować swoje życiowe credo jako coś, co jedynie można by przeciwstawić podejrzliwemu oku księżycy i potędze milczącego wszechświata:

— Zarówno po jak i przed dokonaniem czynu wola Niemca jest zawsze jednakowa. Nie da się jej złamać przez nacisk zmiennych okoliczności, czas również nie potrafi tego dokonać, w przeciwieństwie do woli innych ludzi, którzy żałują tego, co zrobili. Wola Niemca ma cechy ponadczasowe i podobna jest postaci wykutej z kamienia, która zdaje się spoglądać naprzód i wstecz tą samą niewzruszoną twarzą.

Słowa przebrzmiały w ciszy nocnej, a milczenie, jakie po nich nastąpiło, trwało dość długo, aby nasycić beznamiętną próżność von Grocka. Przyjął on je za coś w rodzaju wróżby, tak jakby figura kamienna przemówiła w dolinie milczenia. W chwilę potem cisza została zakłócona przez dochodzący z dala odgłos końskich kopyt. Sierżant Schwartz nadjechał pełnym galopem, a jego zszereżona bliźnią twarz miała już nie tylko ponury, ale wprost upiorny wyraz.

— Panie Marszałku, — powiedział salutując

dziwnie sztywno — przed chwilą widziałem Petrowskiego!

— Czyżby go jeszcze nie pochowano? — spytał niedbale Marszałek, wciąż patrząc w dół z pewnym roztargnieniem.

— Jeżeli pochowano go, to podniósł chyba kamień grobowy i powstał z martwych — odpowiedział sierżant.

Schwartz patrzył wprost przed siebie na księżyc i błota; i mimo, że napewno nie posiadał zbyt wielkiej wyobraźni, to przecież nie dostrzegł wcale otaczającego go krajobrazu, tak był zaabsorbowany widokiem tego, co ujrzał był poprzednio. Po głównej ulicy jasno oświetlonego miasta Paweł Petrowski żywy i cały przechadzał się tam i z powrotem. O pomyśle nie mogło być mowy — smukła postać o bujnej czuprynie i francuska przyściętej brodzie figurowała w nazbyt wielu prywatnych albumach i pismach ilustrowanych. Wokół niego zaś polskie miasto przybrane sztandarami kąpało się w ogniu płonących pochodni. Ludność wiatowała na cześć bohatera i w entuzjasmie radości zdawała się być jakby mniej wroga w stosunku do rządu, który uwolnił jej bożyszcze.

— Czy mam przez to rozumieć, — zawołał Marszałek zachrypniętym a jednak przenikliwym głosem — że odważono się go uwolnić pomimo mego rozkazu?

Schwartz zasalutował powtórnie i odpowiedział:

— Uwolniono go, ponieważ żaden rozkaz nie przyszedł.

— Czy chcecie, abym uwierzył, iż po tym wszystkim żaden posłaniec z rozkazem od nas nie doszedł?

— Żaden nie doszedł — odrzekł sierżant.

Zapanowało dłuższe milczenie, wśród którego Marszałek powiedział krótko i ostro:

— Co u diabła mogło się zdarzyć? Czy nie macie żadnego pojęcia, jak to wszystko wytłumaczyć?

— Owszem, widziałem coś, co zdaje się tłumaczyć wszystko — odpowiedział sierżant.

Prawdą jest, iż to, że taki a nie inny obrót wzięła cała powyższe opisana sprawa, stało się z nadmiaru pruskiej słabości. Można powiedzieć również, że bezpośrednią przyczyną była druga typowo pruska słabość, jaką jest pogarda. Albowiem pogarda jest najbardziej niebezpieczną z tych wszystkich namiętności, które zaślepiają i doprowadzają ludzi do szaleństwa.

Marszałek von Grock monologował nazbyt beceremonialnie przed krową i obdarzył zbyt wielkim zaufaniem głowę kapusty. Marszałek gardził ludźmi nieinteligentnymi i zwykł był traktować von Hocheimera jak martwy przedmiot tylko dlatego, iż przypadkiem wyglądał on na głupca. Ale porucznik nie był głupi pomimo nieinteligentnego wyglądu. Tak samo dobrze zrozumiał on, co Marszałek miał na myśli, jak i cyniczny sierżant, który całe życie odraabiał brudną robotę. Hocheimer pojął także szczególną filozofię moralną von Grocka: że czyn zbrodniczy popełnić wolno nawet wtedy, jeżeli motywy jego są nie do obronienia. Porucznik wiedział, że jego dowódca pragnie się pozbyć Petrowskiego; że chce doprowadzić do jego egzekucji za każdą cenę. Kiedy Hocheimer usłyszał szybszego jeźdźca poza sobą, domyślił się od razu, że nowy posłaniec wiezie ze sobą ulaskawienie skażca. Von Schacht, ten młody i dzielny oficer, którego postać była jakby ucieleśnieniem szlachetniejszej tradycji narodu niemieckiego (o której nie miałem okazji wspomnieć w tym opowiadaniu), wart był tego, aby los uczynił z niego zwiastuna bardziej wspaniałomyślnego polityki. Nadjechał z szybkością, na jaką pczwoliła mu nabyta sztuka jazdy, której to szlachetnej sztuce

TADEUSZ SZYMAŃSKI

## CZŁOWIEK EUROPY

W DOJRZEWAJĄCYM konflikcie politycznym między światem anglosaskim i sowieckim Europa może odegrać rolę pierwszorzędą. Jest zaś rzeczą niesłuszną uzależniać cały rozwój wypadków w Europie tylko od rozwiązania zagadnienia niemieckiego, jak to czyni wielu powierzchownych obserwatorów, ulegających sugestii ludnościowego i gospodarczego potencjału Niemiec. Naród niemiecki jest na razie tylko przedmiotem gry między obu potężnymi blokami pozaeuropejskimi, natomiast na zachodzie Europy naród francuski, tak wskutek zajęcia dogodnego położenia geograficznego, jak też i pewnych tradycji historycznych, wciąż jeszcze jest podmiotem polityki europejskiej; stąd od rozwoju wypadków we Francji w tym krytycznym okresie zbrojnego pokoju zależy w znacznej mierze cała polityka europejska.

Trzeba pamiętać, że t. zw. Europę w znaczeniu polityczno-cywilizacyjnym stanowią w tej chwili właściwie tylko dwa kraje: Anglia i Francja. Ani ekscentrycznie położona i uwikłana w trudności wewnętrzne Hiszpania gen. Franco, ani pokonane orężnie i wytrącone z równowagi duchowej przez faszyzm Włochy, ani tym bardziej leżące w ruinach i chore Niemcy, ani okupowane przez wojska sowieckie narody słowiańskie z Polską na czele nie mogą w tej chwili zbyt wpływać na rozwój polityki europejskiej; państwa małe, jak Szwajcaria, Belgia, czy Szwecja, zahypnotyzowane widmem przyszłego starcia się olbrzymich bloków rade by wprawdzie szukały ratunku w jakimś odrodzeniu samodzielności europejskiej, nie mają wszakże na to ani wpływu, ani środków praktycznych.

Stąd jasne zdawanie sobie sprawy z wewnętrznego położenia we Francji i jej możliwości stanowi ważną część właściwej oceny położenia światowego. W sytuacji wewnętrznej IV Republiki Francuskiej na czoło wszystkich spraw wysuwa się kwestia działala-

Dokończenie ze strony 10

Europa zawdzięcza wielką tradycję rycerską. Głosem donośniejszym od trąbki kazał Hocheimerowi zatrzymać się na siodle. Ale ręka tegoż trzymała karabin niżony jak pistolet i z broni tej strzelił chłopcu między oczy.

Potem zawrócił i pojechał dalej wioząc z sobą wyrok śmierci na Polaka. Z tyłu za nim koń i jeździec przewalili się ciężko poza krawędź drogi i znikli nie pozostawiając żadnego śladu; droga znów była pusta i jasna, tak jak przed chwilą. Zaś gdzieś daleko posuwał się po niej mozolnie trzeci posłaniec, który myślał właśnie w owej chwili o tym, że droga, którą jedzić, wydłuża się w nieskończoność. To też gdy ujrzał nareszcie mundur Białego Huzara, świecący jak gwiazda w oddali, odetchnął z ulgą i sięgnął po karabin; nie wiedział jednak, że człowiek przez niego zabity był pierwszym posłańcem a nie drugim.

To było przyczyną, że żaden posłaniec nie przybył owej nocy do polskiego miasta, to sprawiło, że Polak wy dostał się żywy z więzienia. Czyż nie można więc śmiało powiedzieć, że Marszałek von Grock, mając dwóch wiernych i oddanych sobie ludzi, miał o jednego z nich za wiele?

G. K. CHESTERTON

Tłumaczyła KRYSZYNA SIERZOWA

ności generała de Gaulle i jego stosunku do partii komunistycznej.

Chcąc zrozumieć znaczenie postaci de Gaulle'a trzeba pamiętać, że odegrał on w dziejach Francji rolę wyjątkową: mianowicie ocalał w latach 1940-1944 honor Francji i jej niezawisłość państwową właściwie wbrew większości Francuzów, którzy karmieni przed Drugą Wojną Światową beztróskim pacyfizmem, a w swej warstwie robotniczej propagandą komunistyczną, poszli w r. 1940 w znacznej mierze za kapitulacyjną wobec Niemiec polityką marsz. Petaina (złudzeni zresztą pewnymi pozorami reform społecznych i państwowych). W chwili rozpoczęcia z Londynu swej walki o wolność Francji miał przy sobie de Gaulle zaledwie garstkę zwolenników i tym większa jego zasługa, że garstka ta już w latach 1942-1944 urosła do wielu tysięcy członków *Résistance* w samej Francji. Opór wobec kapitulacji, pociągający za sobą zawsze ogromne straty w życiu ludzkim i mieniu, może być popularny i powszechnie zrozumiały tylko w narodzie o tak zdrowych instynktach narodowych jak np. naród polski; Francuzi byli i są narodem wyczerpanym, pomimo istnienia bardzo wartościowej elity; masy są zdemoralizowane przedwojennym "łatwym życiem", następnie latami wojny i okupacji.

De Gaulle znający, jak mało kto, swój naród — dostosował swą politykę i środki działania do konkretnej sytuacji. Kiedy komuniści francuscy po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej przeszli do walki przeciw Niemcom, zawarł z nimi bez wahania taktyczny sojusz polityczny skierowany przeciw Niemcom, licząc, że pozwoli mu to jakgdyby "zarazić" patriotyzmem zbyt dotąd obojętne pod względem narodowym masy robotnicze.

Przewidywania polityczne de Gaulle'a spełniły się prawie zupełnie, co stanowi zawsze dowód wysokiej klasy umysłu i siły wyobraźni. Anglosasi uwolnili Francję od Niemców. *Résistance* odegrała w wojnie swą rolę, a masy robotnicze istotnie częściowo nabrały żywszych uczuć patriotycznych. De Gaulle, strzegąc czystości niezależności polityki francuskiej wobec potężnych sprzymierzeńców: Anglii i Stanów Zjednoczonych, zdecydował się w r. 1944 po uwolnieniu Francji na krok śmiały: podróż do Moskwy i odnowienie sojuszu francusko-sowieckiego, zgodnie zresztą z tradycjami zagranicznej polityki francuskiej. Było to jeszcze w czasie trwającej wojny z Niemcami. Ten fakt, jak również utrzymanie w rządzie tymczasowym pod swym przewodnictwem dwu ministrów komunistycznych miały być według planów de Gaulle'a gwarancją utrzymania pokoju domowego we Francji.

Położenie uległo radykalnej zmianie po klęsce Niemiec i Japonii pod koniec 1945 r. Już w pierwszym Zgromadzeniu Konstytucyjnym partia komunistyczna, która przegrała pierwsze referendum, ale liczbowo stała się najsilniejszym stronnictwem w parlamencie, — zażądała dla siebie ministerstwa spraw zagranicznych, lub spraw wewnętrznych lub obrony narodowej. De Gaulle jako szef rządu tymczasowego odmówił temu stanowczo podając jako powód fakt zależności komunistów od mocarstwa zagranicznego: od Moskwy. Komuniści musieli ugiąć się i rząd de Gaulle'a powstał w takim składzie, jak on sobie tego życzył, ale partia Thoreza nie zapomniała

tego nigdy generalowi. Ten natomiast bardzo szybko zorientował się, że komuniści dążą do wyłącznej władzy w IV Republice przez narzucenie jej swego projektu konstytucji; nie znajdując należytego oparcia ani wśród rozdwojonych socjalistów, ani wśród oportunistycznych katolików z M.R.P. (Republikańskiego Ruchu Ludowego) de Gaulle w styczniu 1946 r. złożył prezesurę rządu tymczasowego republiki i stał się człowiekiem prywatnym.

Po jego ustąpieniu koalicja trzech partii (*tripartisme*), cynicznie skłócona między sobą, ale zgodna w tym, aby nie dopuścić nikogo innego do władzy w państwie — rozpoczęła swobodnie rządzić bez żadnego hamulca, co w ciągu kilku miesięcy spowodowało gwałtowne zaostrenie się sytuacji wewnętrznej we Francji przy groźbie wciąż katastrofie finansowej państwa. Pomimo odrzucenia w drugim referendum 5 maja 1946 r. komunistycznego projektu konstytucji przez naród, drugie Zgromadzenie Konstytucyjne rozpoczęło na nowo "flirt we troje" w rządzie między komunistami, socjalistami i M.R.P. pod przewodnictwem Bidault z M.R.P.

De Gaulle wystąpił w czerwcu b.r. ponownie na widowni politycznej, wygłaszając w Bayeux słynną mowę, poświęconą zagadnieniom konstytucyjnym, gdzie opowiedział się za systemem dwuizbowym parlamentu, rozdziałem trzech władz: prawodawczej, wykonawczej i sądowniczej, oraz za rozszerzeniem praw prezydenta jako osoby stojącej ponad partiami i reprezentującej w państwie czynnik nadrzędny. Ale druga konstytuanta pomimo, iż najliczniejszą w niej grupą byli tym razem republikanie ludowi (M.R.P.), nie poszła za zdaniem de Gaulle'a. Nowy kompromisowy projekt konstytucji dawał dużą satysfakcję komunistom; zarysował się już wyraźnie ów dziwny i niemoralny sojusz komunistów z M.R.P., który doprowadził do wspólnego uchwalenia ordynacji wyborczej, znacznie faworyzującej wielkie partie i nie dającej wyborcy żadnych praw, jeśli idzie o możliwość swobodnego wyboru ludzi (można wybierać tylko między kilku listami).

Człowiek, który w r. 1940 szedł "pod prąd" w życiu politycznym własnego narodu, nie zawahał się i w r. 1946. W swej mowie w Epinal we wrześniu b.r. de Gaulle stanowczo potępił drugi projekt konstytucji; a odrzucając z pogardą zarzuty dążenia do dyktatury, osobistej, potępił niedwuznacznie M.R.P. i jej przywódców (idzie tu szczególnie o premiera Bidault i prezesa M.R.P. Schumanna), którzy zdradzili te zasady, jakich zobowiązali się bronić. Trzecie referendum z dnia 13 października, pomimo wyteżonej propagandy ze strony trzech wielkich partii, przyniosło zatwierdzenie konstytucji tylko przez 53% głosujących, przy czym liczba głosów "tak" była niższa od głosów "nie" w drugim referendum — i wobec masowego wstrzymywania się wyborców w niektórych okręgach wyniosła tylko jedną trzecią uprawnionych do głosowania. De Gaulle odniósł moralne zwycięstwo i wezwał w czasie kampanii wyborczej do głosowania na tych kandydatów, którzy zobowiążą się do rewizji nowo ogłoszonej konstytucji.

Walka toczy się wszakże między de Gaulle'm i komunistami; stąd wokół de Gaulle'a skupiają się jego niedawni przeciwnicy: radykałowie z Herriotem na czele i cała prawica

(P.R.L.), która niegdyś uważała go za "lewicowego generała". Chociaż zaś socjaliści przechodzą coraz bardziej do obozu przeciwników generała, śmiało można powiedzieć, iż nie jest on człowiekiem ani prawicy, ani lewicy, lecz wyraża wieczne interesy Francji zagrożone dziś przez komunistów. Nie jest on wcale przeciwnikiem systemu parlamentarnego ani stronnictw jako takich; ten szczerzy demokratą krytykuje tylko nadużycia, oportunizm i skandale *tripartisme'u*, w czym wyraża opinię ogromnej liczby Francuzów. To też popularność jego w masach jest olbrzymia i nawet komuniści atakują go bardzo ogólnie.

Rozumowanie de Gaulle'a jest proste: wierzy on w narastanie konfliktu między Anglosasami i Sowietami, nawet w możliwość wojny i na te okoliczności chce przygotować we Francji rząd silny i niezależny. Stąd walka jego z komunistami, dziś jeszcze czasami ukryta, nabiera znaczenia nie tylko francuskiego, lecz europejskiego i światowego. Z tego punktu widzenia nawet wyniki wyborów francuskich z 10 listopada mają znaczenie nie tak wielkie, bo wiadomo, że komuniści we Francji przygotowują się nawet do walki zbrojnej o władzę.

Mało kto wie o tym, że de Gaulle w r. 1920 jako młody oficer misji francuskiej wkroczył z wojskami polskimi do Kijowa; pamięć wydarzeń, których był świadkiem wówczas, zapewne nie pozwala dzisiejszemu generałowi de Gaulle zachowywać się tak oportunistycznie, jak niektórzy katolicy z M.R.P., którzy Rosję Sowiecką znają tylko z opowiadań i konferencji dyplomatycznych. Uczciwość demagogii i jasne rozumienie głównego problemu naszej cywilizacji, jakim jest walka o wolność człowieka i narodu, sprawiają, że przez wychowanie własnego narodu odgrywa on rolę ważną w dziejach Europy i że wielkość duchową jego osamotnionej czasami postaci będą mogły należycie ocenić dopiero przyszłe pokolenia. W każdym narodzie europejskim są dzisiaj ludzie rozumiejący rolę Europy w dziejach świata i widzący wyraźnie, o jak wielką stawkę toczy się gra. Trzeba życzyć Francji, aby de Gaulle'a, wielkiego człowieka Europy, należycie umiała ocenić i pozwoliła mu wykonać jego dziejową rolę do końca!

TADEUSZ SZYMAŃSKI

Paryz, w listopadzie 1946 r.

Ukazała się w druku broszura

JĘDRZEJA GIERTYCHA

## "O PRZYSZŁOŚĆ ZIEM WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ"

Bilans dwudziestolecia. — Skutki ostatniej wojny. — Stan obecny. — Propozycje i wnioski.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach polskich

Cena 3s.

Można również zamówić — dołączając przekaz na 3s. — bezpośrednio u autora: 16, Belmont Road, London, N.15.

WIKTOR TROŚCIANKO

## IMPRESJE NEAPOLIŃSKIE

**D**ZIS WŁAŚNIE, tej nocy mijam je — zwyczajnie, po prostu, bez żalu. Raz — bywało — mimozą i migdałami uśmiechnięte, innym razem spiczone letnim słońcem, lśniące w rzece roztopionego asfaltu; otoczone żołknącymi lub czerwieniejącymi winnicami na stokach i łagodnych przełęczach. Przećinamy (zapewne) kotliny, pełne obłoków mgły czy wiatru. Mijamy je — owe radosne, gdy się miało powody do radości, smutne czy tragiczne gdy się tak składało. Tędy: przez Chiaravalle, Jesi, Fabriano, Foligno, Spoleto — na Rzym i z powrotem "do domu". Nie wiem nawet, czy właściwie używam tego cudzysłowu. Bo przecież... Eh, co mi tam!

A ten z żalu, czy też goryczy wstawiony typek — jednak zawadza w przedziale. Zwłaszcza, gdy dwóm amerykańskim księżom tłumaczy, że dotychczas nie zgrzeszył w życiu. Kto go tam zresztą wie.

Świt jest dżdżysty; równiny pontyjskie, Littoria i góry na lewo od drogi — mokną. Ładnie przywita nas ten Neapol!

Przywitał nadąsany nieco chmurami, ale ciepły i suchy. Wylegają z pociągu oddziały zmięte podróżą, objuczone tłumokami — żywa legenda pustyń i kampanii włoskiej, a jeszcze przedtem — cudem wyrwani z objęć szatana. Na złość brudnemu peronowi i chmurom czystymi buty, prostujemy pasy, wyglądamy fałdy płaszczów. Jednym okiem trzeba co chwila zerkać na prawo i lewo, czy żywiliwie uśmiechnięci przechodnie peronu nie zwędzą czegoś, w sposób znany tylko magikom na estradach.

Spod płachty samochodu oglądamy zwykle popołudnie Neapolu. Oto niewielki tłumek pod balkonem odrapanego domu; na balkonie przedwyborczy histron powtarza znane z afiszów frazesy, przetykając je często gęsto okrzykami *evviva* i *morte*. Może jest w trakcie przekonywania gapiów, nic lepszego do roboty nie mających, że powinni głosować na "Wezuwiusza." Wezuwiusz więc ma reprezentować interesy narodu włoskiego. Niebezpieczny reprezentant — bardzo charakterystyczny symbol komunistów neapolitańskich, którzy w braku bomby atomowej sami grożą zalaniem, zasypaniem, przykryciem rozpalonym popiołem. Na dole zaś stał *uomo qualunque*. Niekoniecznie ten z afisza zwyczajny *napolitano* — zabiedzony ojciec kilkorga czarnookich, białych dzieci, małżonek kobiety o ostro zarysowanych kościach policzkowych, przechodzień miasta od Vomero po Riviera di Chiaia, przesmyków ulicznych zawieszonych bielnią w okolicach świętej Klary, Dominikanów, Portici... człowiek, który tak jak miliony innych jest może najmniej winny grzechu nowoczesnej Pompei.

Obóz nasz ukryty jest w rozległym parku. Baraki z falistej blachy, płótna namiotów, administracja, napisy orientacyjne. Na ścieżkach i alejach obozu dziesiątki znajomych. Są także i nieznamy, ale łatwi do rozpoznania i zrozumienia: oficerowie i żołnierze jugosłowiańscy. Starannie dociągający się do poziomu aliantów wyczyszczonym pasem, dobranym na przedce do figury mundurem. Gdzieś tam w zakątkach świadomości czai się wątpliwość, czy tytuł alianta jest aby należy. Czy raczej jakieś na wpół wojskowe, na wpół cywilne, z ojczyzny "rozproszone osoby",

których dowódcę niedawno rozstrzelano, przy wstydlivych, zdawkowych frazesach współczucia pewnej (nieznaczącej zresztą) części opinii świata cywilizowanego. A tuż niedaleko inny obóz, z tablicą kompanii transportowej *German... H.Q.* Przy bramie dobrze odżywione sylwetki w *battledressach*. Żadnych wstydlivych lat, żadnych "PW" na plecach; na lewym rękawie tylko małe kolorowe kółko, coś jak znak rozpoznawczy któregoś ze sprzymierzonych oddziałów. A no — właśnie tak...

W barakach naszego obozu zwyczajny banał: — Ale, powiadam ci, baba była — jak wulkan...

— I znowu ten gulasz na obiad...

— A u nas, w San Benedetto była taka (palec do góry) knajpa...

I pracowicie nad bridżem pochylone postacie.

Pisano, żeśmy wygrali wojnę. Najlepiej to ilustruje cynizm Tadeusza, który właśnie rozpoczął swój cykl nieporównanych uwag. Tadeusz w czasie ostatnich lat wojny ładem i wodą opasał kilkakrotnie przestrzeń ziemskiego globu. Płynął najpierw do wojska, przez oceany: Spokojny, Indyjski, Atlantyczny; przemyskał się między wyspami egzotycznych archipelagów do najbardziej wówczas wymarzonej wyspy brytyjskiej, na której było wojsko polskie. Potem znów wracał naokoło Afryki, przez Aden, Morze Czerwone — na pustynie. Potem bił się, żeby wygrać — jak tysiące innych. A potem w epilogu: niż psychiczny, którego na pewno nie trzeba zazdrościć, a który trzeba zrozumieć. Dzisiaj z powrotem zdrów, trochę tylko cynizmu przybyło. Nie znosi także stania w miejscu, przebiera wtedy nerwowo palcami, zamyśla się, nie odpowiada na pytania. Wszelkie przeciwności życiowe, od tych ogólnych i największych, do osobistych, określa krótko aforyzmem: *Nie ma takiego dobrego uczynku, który by się natychmiast nie zemścił*. Między tymi jednak, przesadnie złośliwymi uwagami i psioceniem na "rodaków", dziecinny w głębi, związany z psychiką narodową instynkt moralny i estetyczny. Z nim to właśnie przeżywałem ostatnie wrażenia z Italii.

Capri jest wyspą banalną dlatego zapewne, że nahałnie zajęchała na nią straganowa literatura przy akompaniamencie muzyki dancingowej — wszystko w przepisowym obrazku z grotą laburową na pierwszym planie. Capri, nakryte obłokami, wyrastające masywem z jesienno-go morza o dziesięciu barwach, dziecko wulkaniczne — jest nadal interesujące jakby nie było: "wyspą kochanków, gdzie nasza miłość skończyła się już!"

Listopadowe mgły i obłoki miękko przykryły Monte Solario, wypełniły ruiny willi Tyberiusza, wędrującymi płatami spacerowały po zboczach, zbiegając aż do greckich schodów, którymi przed dziesiątkami stuleci smagli Hellenowie szukali śladów Odysosa. Nieśli wtedy w dłoniach fletnie i struny, których dźwięk przekazali pokoleniom. Białe mgły skryły trędowatą willę Imperatora; z tej wysokości patrząc w stronę Amalfi i Sorrento przeżywał pogodę młodzieńczą, dumę południowych zwycięstw. Trochę bezceremonialnie w łuki naturalne i sny historii między słoneczną górą i lazur morza wdarł mi się

*dottore Axel Munte*. Wszedł po skandynawsku na San Michele ze swoimi kufkami w *salla di pranza* i sentymentalnymi nagrobkami dwóch dobrych piesków. Jakoś mi się z tą estetyką artysty, skrzętnie i cierpliwie zbierającego pamiątki, nie zupełnie zgadzał jeden fragment, a mianowicie: stara kaplica zamieniona w pracownię, dziś "sanktuarium". Mówi się tu szepem, że właśnie przy tym biurku narastała karta po karcie "Księga San Michele". Narazając się wielbicielem tej zupełnie niebrzydkiej książki, śmiem twierdzić, że wielki komin skandynawski na miejscu ołtarza wygłada bardzo parafiańsko i nie estetycznie.

— *Dottore* zrobił to, *dottore* tamto — objaśnia półgłosem mieszkanka muzeum, sama czująca się ważnym eksponatem.

A tymczasem Księga Capri została napisana o wiele dawniej — jednym tchem głębinowego wulkanu, który bez zbytnich metafor tak genialnie skojarzył kolory nieba i ziemi, wody tyreńskiej i zieleni winnic.

Jedną z osobliwości, pokazywaną Polakom przez *guida (uomo qualunque)* jest pewna willa z dumą Otwocka czy Falenicy reklamująca swą nazwę "Bajka". "Bajka" należy do Polek i w dodatku szlachcianek, jak to z tablicy wynika. Wyraźnie jest bowiem napisane, że właścicielkami są: *Janka i Zosia de Grodzkie*. Jedna z panien de Grodzkich, jak opowiadał przewodnik, wyszła za mąż za kapitana amerykańskiego. Jeśli małżeństwo zakupi nową willę, tablica sprawi wiele kłopotu.

Szlacheckie bowiem *of* nie jest dotychczas w Ameryce używane. Chyba, że *Janka* czy *Zosia* zaczną — na Capri. (Tadeusz naturalnie nie omieszkał zawyc z uciechy na widok patriotycznej tablicy — stary cynik!).

Nie ważne są takie i podobne "bajki" na Capri. Tyle jest tam rzeczy ważniejszych: ścieżki między kamiennymi murami, płyty zielonych opuncji, obfite w owoc sady mandarynek, cytryn i pomarańcz, zwykły wrzeszcz, pocziwy miodnik i pelargonie. Stamtąd — o że mnie — kawał czasu. Przedziwna realizacja marzeń o "słońcu południa", gdzie musiały być, takie właśnie, kaktusowate drzewa, osiolki obławowane beczułkami wina... Dotychczas nie mam wizy powrotnej, choć tyle się namozoliłem od czasów wileńskich arkad, bernardyńskich alejek nad Wileną, od wieczorów na Zakrecie, w Werkach i dalej — nad Naroczą, Miadziołem, Dryświatami. Widziałem to wszystko przez owo — *Arco Naturale*, które w duszy wyrzeźbiły stulecia ojców.

Nie dobrze jest czasem wygrać wojnę.

Obiad w małej trattoryjce niczym się nie różnił od innych włoskich obiadów prócz niezwykłego towarzystwa. Przesiadł się bowiem do nas lśniący biały kot. Kot, jak kot: mruczał, ocierał się, aż wrzeszcz podniósł głowę. Dopieroż zdumienie!

Takich oczu jak żyję nie widziałem — błękitne jak cała neapolitańska zatoka — więcej: jak woda w Grocie Lazurowej, jak sztambuch prababci Leosi. Błękitnooki kot korzystał z tego zdumienia jak umiał. Obojętnie miażdżał *pasta asciuta* i kawałki (twardego) *bisteca*. Najwięcej chyba skorzystał gospodarz, który licząc na sukces kota postawił nam tak cierpkie wino, że kiedy indziej nie uszłoby to bez dobitnych omówień. Wtedy jednak piliśmy niesławne *del paese*, wpatrzyli w błękit kocich oczu. Trzech lirów nie dam za to, czy nie śpiewałem wtedy: "Pamiętasz Kapri wśród słońca i róż."

Italię rzucano na zatoce jak piłką. Wiatr przyszedł z otwartego morza i nagał nowo obłoki na Amalfi i Wezuwiusza. Stał nieruchomy, bez cienia pióropuszu, który dodają do obrazków za te same pieniądze, widocznie po to, żeby nie zapomnieć o jego możliwościach.

Memento dla filozofów i cyników, sentymentalistów i rabelosowsko-sytych. Żeby w czas uciekli, żeby w czas przerwali taniec fauna i bachanalię sylenów, opuścili domy z pornograficznymi malowidłami, *impluvia*, ogrody, fontanny. Bo ktoś będzie musiał potem znowu pracowicie odgrzebywać ruiny: mozaiki, świątynie pychy... Ktoś na nowo będzie pisał o "ostatnich dniach Pompei"... bo właśnie otworzyły się nowe możliwości, zbadane na Atolu Bikini czy też wołające z afiszów wyborczych partii *Vesuvio (eviva Stulin!)*. Nad błękitem łacińskim pochylił się większy cień, niż stożek Wezuwiusza nad Neapolem. Nie przejdzie się koło niego krokiem fauna, zmykającego w bezpieczne gęstwiny przed burzą.

Neapol broni się amfiladami świateł, jazzem amerykańskich barów, kilkoma żywej pulsującymi ulicami śródmieścia, kędy spacerują strzępciele zapomnienia:

— *Signorina, bona signorina* . . . *camera molto eleganta* . . . *castani, sterlini, dollari* . . . *papirosy, papirosy, dobre zegarki*.

W geometrycznym środku tej kiepskiej ludzkiej komedii pochyła głowę z brzydkiego pomnika Florentyńczyk — Dante.

I tylko dzwony od Dominikanów, Jezuitów, od Świętej Klary — mówią, że jeszcze czasy.

Dzień jest potem znów słoneczny. Siedzimy z Tadeuszem przy burcie innego maleństwa — *Regina Elena* — i przesuwamy się między wulkanicznym archipelagiem w kierunku Ischii. Lekceważąc napis *Vietato ingresso* pniemy się wykutymi w skałę korytarzami ku resztkom zamku dynastii aragońskiej. Pustka, cisza — i wspaniały widok. Lekki szmer gruzów pod nogami. Nagle, za jakimś załomem na w górę zwalonych ścian drzewko mandarynkowe jedno i drugie, a między nimi — zupełnie niezabytкова damska bielizna. Lekceważąc, podobnie jak my, napis *Vietato ingresso* schnie sobie w promieniach listopadowego słońca Ischii. Właścicielka ma wielkie ciemne oczy i bardzo grubą mamę, niezbyt przyjaźnie spoglądającą na umundurowanych turystów. Mijamy zatem fragmenty współczesne i znowu potulnie zapuszczamy się w góry aragońskie. Schodząc ze skały napotyamy niepokojącą postać wysokiej blondyny w wieku późnobałzakovskim.

— Śmierć na urlopie — szepcze wystraszony Tadeusz.

Przyspieszyliśmy kroku. Po paru godzinach, gdyśmy w restauracji obok portu jedli obiad — wionęła ta sama starsza blondynka przez salę. Znów milcząca, tajemnicza — zjawia z seansu spirytystycznego.

— Strzyga skalna — twierdził poruszony do głębi Tadeusz. — Jeżeli jeszcze zobaczymy ją na statku . . .

Pewnie, że zobaczyliśmy. Była żoną sierżanta karabinierów, którzy tutaj pilnowali wyborczych temperamentów. Tazio twierdził, że mimo wszystko baba jest ogromnie niesamowita i że na dobrą sprawę należałoby zastosować do niej "próbę wody".

— Jak pójdzie na dno — w porządku. Jak nie pójdzie — utopię. — Nie wiem co by było, gdyby właśnie nie owi karabinierzy, otaczający sierżanta i jego żonę. Dzięki temu zapewne dotarliśmy do Pazuoli i bez dalszych przygód wylądowaliśmy w barze *Eden (raj)*. Marynarze U.S.A. tańczyli bugbugi, a kelner zapewniał, że niektóre fordanserki są nie tylko do tańca.

Za oknem, za amfiladą świateł na Largo Caraciola ciemnym masywem aż do wygwieżdżonego nieba wznosił się uparty Wezuwiusz. Nieczynny oczywiście, nieczynny. Spokojny.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

## LOS

*Noc granatowa, jak moje oczy w dzieciństwie,  
upadła nagle przed ziemią, o smutek potknęła  
się ludzki —  
lub może o moje myśli, o moje myśli tylko,  
w których jak kij pielgrzymia błąka się ciemne  
jutro.*

*Drzewa stęzałe mrokiem, jak konające oczy —  
lęk zabłąkanych ludzi ukryły pod konary.*

*Idę senna — dotykam włosami ciemności —  
i rozpacz mego losu, jak nędzny patyk lamie.*

Italia, 1946.

## MARSZ PODCHORAŻYCH

*Nie rozchylaj wspomnieniem drzew rozpaczają-  
cych,  
ani nie budź z milczenia zamysłonych dróg —  
Tam — gdzie miasto pożarem rozdzierał Wysocki —  
chodzi ścieżkami krzywdy dziś milczący Bóg.*

*To on się podniósł z powstańczego grobu,  
aby zrozumieć prawdę umarłego miasta —  
ale cisza jesienna nie odpowie Bogu,  
przebranemu na chwilę w ciemny strzęp pow-  
stańca.*

*I Tobie nie odpowie. Przeto zasłoń oczy,  
osłepłe od ran wojny, struchlałe od grozy —  
i posłuchaj przestrzeni: Niech zagra Wysocki  
rozpacz i hejnał boju w Marszu Podchorążych.*

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

Anglia, listopad 1946.

Po kilku kawach wracaliśmy z Tadeuszem na ostatnią noc włoską do pensjonatu; chcieliśmy porządnie wypocząć po dziesięciodniowej, forsownej turystyce. Zbłądziliśmy oczywiście w krętych uliczkach. Jakieś operowe widmo w nocnej koszuli tłumaczyło nam drogę, mówiąc, że jest *sempre dritto*. (Było *dritto*, ale wcale nie *sempre*.) Doszliśmy po godzinie. Nie było znów tak spokojnie w tym pensjonacie. O piętro wyżej odbywała się jakaś *festa danzanta*, którą nasz sufit oddawał z czułością membrany telefonicznej. Po godzinie krzyków i tańca nagle uspokoiło się jak uciąż. Ktoś zaczął grać na fortepianie — zupełnie porządnie.

Trochę Debussy'ego, Ravela, coś De Falla, a wrzeszcz — jakby na zakończenie naszych włóczęg — wariacje na tematy neapolitańskie.

. . . *tornai a Sorrento* . . . *Catari, Catari*. Po raz ostatni pod dachem Neapolu rozjaśniły się myśli, jakby w pełnym słońcu, w jedno szczęśliwe mgnienie — przepłynęły wszystkie białe drogi od Toskanii po Kalabrię, od szczytów Apenin do Adriatyku.

Szkoda, że zakończenie było fatalne: preلود Rachmaninowa.

Ano — trudno, nie tylko w muzyce tak bywa. Wyrzucamy ze słuchu ostatnie nuty. Wracamy myślą do słonecznych wariacji.

Żegnaj Catari . . .

Jutro wyjeżdżamy. Wiemy, że statek jest typu *Liberty*, czy *Victory* — zobaczymy.

WIKTOR TROŚCIANKO

Na Atlantyku, w listopadzie 1946 r.

## UWAGI

### TYLKO NOTY?

Obrót, jaki przybrała sprawa t. zw. "wolnych i nieskrępowanych" wyborów w Polsce, zapowiedzianych w deklaracji jaltańskiej, nasuwa coraz bardziej wrażenie ponurej i odrażającej groteski. Przywódcy reżimu warszawskiego doszli — nie bez powodu — do wniosku, że mogą sobie gwizdać na zaciągnięte zobowiązania oraz na odwołujące się do tych zobowiązań czysto formalne interwencje mocarstw anglosaskich — i uznali za stosowne w ogóle nie odpowiadać na noty rządów brytyjskiego i amerykańskiego z dnia 19 sierpnia r.b. Co więcej, w ciągu ostatnich kilku miesięcy, które ubiegły od tego czasu, wzmocnili i "udoskonallili" jeszcze te właśnie poczyny i metody, przeciw którym noty mocarstw anglosaskich były skierowane.

Ostatnio, w związku z rozpisaniem "wyborów" w Polsce na dzień 19 stycznia 1947 roku, poszły z Londynu i Waszyngtonu do Warszawy nowe noty, — ich efekt jednak z pewnością będzie nie lepszy od rezultatu not poprzednich. Jak wąty zresztą charakter ma cała ta akcja dyplomatyczna, świadczy nader skromna *publicity*, jaką obie noty otrzymały czy to w radiu, czy w prasie; żaden z dzienników brytyjskich ani amerykańskich nie poświęcił im artykułu redakcyjnego — mimo znacznej podatności prasy obu tych krajów na inspiracje, płynące z *Foreign Office*'u czy Departamentu Stanu.

Czytelnicy nasi wiedzą, że nie przywiązywaliśmy nigdy wagi do zapowiedzianych w Polsce, pod auspicjami obecnego reżimu, "wyborów", z góry zdając sobie sprawę, że będą one w istniejących warunkach komedią i szalbierstwem. Jeśli mogły być jeszcze pod tym względem jakie wątpliwości, czy choćby cienie wątpliwości — kres im położę musiało pominięcie w postanowieniach jaltańskich i poczdamskich jakiegokolwiek bezstronnej międzynarodycznej kontroli nad aktem wyborczym oraz odsunięcie od udziału w życiu publicznym Polski, a tym samym i w wyborach, jej wielkich, historycznych ruchów politycznych zasłużonych w walce z najazdem niemieckim, wreszcie zaś zniszczenie całej niezależnej prasy polskiej, która ukazywała się przed wojną.

Niemniej obecne stanowisko mocarstw zachodnich musi budzić myśli bardzo niewesołe, gdy się zważy, jak łatwo aliansi z czasu wojny, u boku których Polska się tak skrwawiła, rezygnują z obrony tych strzępów wolności, jakie nam jeszcze tak niedawno poręczano. A przecież mało może być wątpliwości co do tego, że przez samą mocną postawę — bez uciekania się do wojny — uratować można było pełną niepodległość Polski jeszcze w roku ubiegłym, bezpośrednio po powaleniu Niemiec — co więcej, można by tego dokonać nawet teraz, lub w niedalekiej przyszłości, gdyby decydujący dziś mocarstwo świata, jakim są Stany Zjednoczone (za którymi poszłaby niewątpliwie W. Brytania), rzuciło cały swój autorytet i siłę na rzecz wolności w świecie, przede wszystkim zaś wolności dla Polski, która, jak nikt inny chyba, na to sobie zasłużyła.

Zamiast tego losy starych, cywilizowanych narodów europejskich są w dalszym ciągu przedmiotem nieprawdopodobnych w swoim cynizmie przetargów. Jeśli np. wierzycy korespondentowi londyńskiego *Observera* (patrz nr. z dnia 10 listopada r.b.) kierownicze czynniki amerykańskie gotowe są pozostawić nadal Rosji jej "sfery wpływów" w Europie

środkowo-wschodniej w zamian za poniesienie przez nią oporu przeciw nowym nabytkom amerykańskim na Pacyfiku (chodzi tu o wyspy, ongiś należące do Niemiec, które stanowiły ostatni mandat japoński).

Cała działalność polityczna Zachodu w stosunku do krajów Europy środkowo-wschodniej ogranicza się obecnie do wysyłania formalnych, nie opartych żadnym skutecznym "argumentem", not w sprawie wyborów. Jedyny dodatni tego skutek to ujawnianie — w zgola zresztą ułamkowej postaci — prawdy o stosunkach, jakie zaponowały w krajach tej części Europy po ich "oswobodzeniu". Jak na wszystkie hasła i deklaracje, pod jakimi prowadzono i kończono Drugą Wojnę Światową, bardzo to doprawdy niewiele. . .

Wojna poprzednia przyniosła wolność szeregowi ujarzmionych narodów; w wyniku wojny ostatniej c) najmniej dziesięć narodów wolność swą utraciło. Taka jest tragiczna rzeczywistość, spod not dyplomatycznych wyzieraająca.

### PONURE WIDOWISKO

Tymczasem w kraju cała aktywność reżimu nastawiona jest w obecnej chwili na wyreżyszczenie widowiska wyborczego. Po "uchwaleniu" odpowiednio spreparowanej ordynacji przyszła kolej na obsadzenie komisji wyborczych. Jak było do przewidzenia, skład ich jest jeszcze bardziej jednostronny i "zafany", niż przy t. zw. "głosowaniu ludowym" z dnia 30 czerwca r.b. Wówczas np. jedną z nielicznych komisji wyborczych, w których stronnictwo p. Mikołajczyka posiadało swego reprezentanta, była komisja okręgu poznańskiego; dziś i tam przedstawiciele PSL nie dopuszczono. Słowem poczynione już zostały przygotowania, by "obliczenie głosów" dało wyniki pożądane i przygotowane wówczas w "Politbiurze" PPR-u, a może i wyżej jeszcze.

Równoległe z tym idzie dalsze likwidowanie organizacji partyjnej i działaczy PSL zarówno w centrali, jak "w terenie", na obszarze całego kraju. Wymowną statystykę tych represji, napadów i mordów podał sam Mikołajczyk w swym przemówieniu na ostatnim zjeździe rady naczelnej PSL. Już po tym nadeszły wiadomości o dalszych masowych aresztowaniach członków PSL; liczba tych nowych aresztowań w samym Poznańskim sięgać ma 4.500.

Ostatnio ogłoszono komunikat o dobiegu targu między PPR a koncesjonowaną PPS w sprawie wspólnego bloku wyborczego. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że poprzednie wiadomości o poważnych jakoby rozbieżnościach między obu tymi ugrupowaniami były grubo przesadzone i rozpuszczane umyślnie w ściśle określonym celu. Chodziło więc najpierw o to, by pozorami wywalczenia od PPR pewnych ustępstw rozładować, choć w pewnym stopniu, oburzenie robotników socjalistycznych na ich samozwańczych przywódców, z taką gorliwością dysługujących się komunistycznej centrali dyspozycyjnej. Jeszcze zaś ważniejszy prawdopodobnie był względ na zagranicę, która mimo wszystko coraz lepiej zaczyna się orientować we właściwym charakterze "bloku rządowego", tak ludzaco przypominającego monopartię. Pewien efekt manewru te niewątpliwie osiągnęły. Np. korespondent warszawski *Manchester Guardian*, p. J. Cang, dziwnie zawsze podatny na inspiracje czynników reżimowych, donosząc dnia 30 listopada o za-

warcu porozumienia między PPS a PPR, wyraził z tego powodu wielkie zadowolenie, gdyż, jego zdaniem, PPR patrzy ku wschodowi, a PPS ku zachodowi; socjaliści więc — tak sugerując — wywierac będą mogli wpływ w kierunku pewnego umiarkowania.

Tymczasem tak jak i dawniej tak i teraz ze świecą w rękę szukać by można jakiegokolwiek różnicy pomiędzy PPR-owym *Głosem Ludu*, a przywłaszczonym przez pp. Cyrankiewicza i Szwalbego *Robotnikiem*, — równocześnie zaś trwają nadal aresztowania socjalistów niezależnych. Fala obecných aresztowań ogarnia także, jak zawsze, znaczne ilości członków i zwolenników Stronnictwa Narodowego.

Skazawszy na polityczną zagładę PSL przywódcy reżimu, którzy świadomi są pewnego vacuum w swym "wachlarzu stronnictw", zwrócili swe zainteresowania w innym kierunku. Zniechęceni nieudalym eksperymentem z "chrześcijańskim" Stronnictwem Pracy pod kierownictwem wolnościowca Widy-Wirskiego, nie byłiby, jak się zdaje, przeciwni utworzeniu nowego ugrupowania o zabarwieniu katolickim — ale oczywiście tylko na podyktowanych przez siebie warunkach. Niedawne oświadczenie Bieruta, pełne pogroźek pod adresem czynników katolickich, daje pewien przedsmak, jak taka kontrola mogłaby wyglądać.

Na jednym odcinku "reżyseria" wyborcza zawodzi zupełnie: na odcinku gospodarczym. Ceny w Polsce — równoległe ze spadkiem wartości złotego — idą od paru miesięcy zawrotnie w górę. Skonsternowana prasa reżimowa — sięgając do gotowych wzorów sowieckich — próbuje to tłumaczyć "sabotażem" i "spekulacją" wrogich czynników, właściwe przyczyny obecnego załamania się są jednak o wiele prostsze. Mści się, bo zemścić się musiała, dotychczasowa polityka doktrynerskich eksperymentów gospodarczych, mści się niefachowość i nieudolność kierowników tej dziedziny życia, mści się wreszcie rabunkowa gospodarka, jaką wobec Polski uprawiają Sowiety. Fanfanonady p. Minca nie na długo mogły wystarczyć do latania dziur, z każdym dniem rosnących.

### ZJAZD BRUKSELSKI

W ostatnich dniach listopada odbył się w Brukseli zjazd delegatów polskiego wychodźstwa wojennego. Zjechało 85 uczestników zjazdu, których mandaty uznał odpowiednio dobrany Komitet Organizacyjny, i kilkudziesięciu gości znanych z przedwojennych czasów.

Zjazd miał powołać do życia organizację uchodźstwa wojennego i wyłonić organy, które by się ciężkim losem polskich wygnańców zajęły i o byt przymusowego wychodźstwa zadbały.

Zdawałoby się, że tego rodzaju cele uchronią zjazd od klikowych rozgrywek i pozwolą skoncentrować uwagę na sprawie najistotniejszej: trosce o położenie prawne, materialne i moralne naszego uchodźstwa. Tymczasem już przy wyborze przewodniczącego zjazdu zamiast uzgodnionej kandydatury inż. T. Kobyłańskiego wysunięto nową, p. Okuły, która przechodzi 45 głosami, podczas gdy na inż. Kobyłańskiego oddano 40 głosów. Podobnie przy wyborze władz organizacji. Kandydatura p. Jerzego Czarkowskiego, prezesa największej i najlepiej zorganizowanej organizacji uchodźczej, przepadła, uzyskawszy 32 głosy, a przeszła kandydatura p. Z. Rusinka, działacza partii politycznej, skupiając 48 głosów przy 5 wstrzymujących się.

Wydaje nam się, że na prezesa i sekretarza tego typu organizacji, jaką ma być Zjednoczenie Polskiego Wychodźstwa Wojennego, lepiej było powołać działaczy społecznych, ludzi bezstronnych, cieszących się powszechnym uznaniem. Skoro niektóre oclmy chciały do Komitetu Wykonawczego powołać ludzi, znanych ze swej jednostronności i wyłączeni grupowej, należało doboru dokonać beznamytnie i równomiernie spośród wszystkich głównych kierunków i sił tkwiących w terenie.

I w tym wypadku stało się inaczej. Skład Komitetu Wykonawczego uderza jednostronnością i to nie tylko polityczną, ale i terytorialną. Na 15 członków Komitetu tylko 3 należy do Zjednoczenia Polskiego w Niemczech, a aż 6 "reprezentuje" niezorganizowaną jeszcze W. Brytanię.

Nie dosyć na tym. Zjazd zwołano pośpiesznie, w momencie, kiedy szereg krajów nie został jeszcze w ogóle zorganizowany i kiedy niektórzy delegaci reprezentowali nie masę uchodźczą, ale przygodne Komitety Organizacyjne, mające powołać dopiero Zjednoczenia Krajowe. W ten sposób w stosunku, przekraczającym znacznie liczbę reprezentowanych uchodźców, znaleźli się przedstawiciele W. Brytanii (10), Francji (9) i Włoch (12). Jesteśmy stanowczymi przeciwnikami delegatów mianowanych czy to przez sztaby, czy przez dowolnie dobrane komitety, jeżeli mają oni brać udział w zjazdach typu społecznego jako przedstawiciele ogółu uchodźców.

Oceniając z tego punktu widzenia zjazd brukselski trzeba stwierdzić, że jego podstawy są bardzo wątpliwe. W takich warunkach należało wyłonić władze tymczasowe i dopiero po zorganizowaniu głównych krajów stworzyć trwałą organizację centralną uchodźstwa wojennego, która by miała prawo przemawiać imieniem mas uchodźczych. Odgórny system organizowania społeczeństwa nie wiąże mas z władzami, przeciwnie kopie przepaść między dolami, a tymi, którzy je chcą *iure caduco* reprezentować.

O wiele mocniej i poważniej brzmiałby głos uchodźstwa polskiego w świecie, gdyby były inaczej zrzucone podstawy pod Zjednoczenie i gdyby we władzach organizacji nie znaleźli się byli: przeważnie ludzie spod jednego — tak dobrze nam z czasów przedwojennych znanego — znaku, którzy pomimo siedmioletnich rewolucyjnych zmian w świecie niczego się nie nauczyli, niczego nie odczytali i stosują jak za dawnych dobrych, "sanacyjnych" czasów te same chwytliwy, te same mechaniczne metody, które rozbiły społeczeństwo przed wojną i które teraz przeszkadzają na gruncie międzynarodowym stworzyć wielką siłę faktyczną, a nie formalne fikcje.

Będziemy bacznie przyglądali się działalności nowo montowanej organizacji, ale nie możemy powstrzymać się od stwierdzenia, że przebieg zjazdu brukselskiego nie wróży niczego dobrego rozbiżnieniu już na samym początku... Zjednoczeniu.

## TOTALIZM W LITERATURZE

W artykule wstępnym poprzedniego zeszytu *Myśli Polskiej* stwierdziliśmy, że obecny system rządów w Polsce nałożył na myśl twórczą pętlę, która myśl tę dławi i uniemożliwia jej swobodny rozwój. Przebieg ostatniego walnego zjazdu delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich, który odbył się w końcu października r. b. w Łodzi, stanowił wymowną tego twierdzenia ilustrację. By się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do sprawozdań PRR-owej *Kuźnicy* łódzkiej, która cały swój numer z dnia 19 listopada r. b. poświęciła zjazdowi. Ze sprawozdań tych przebiegają wyra-

źnie totalistyczne, ciasno doktrynerskie zapędy rządzącej koterii komunistycznej.

Dla właściwej oceny przebiegu zjazdu należy wziąć pod uwagę ogólną atmosferę kraju — atmosferę terrorku i niustającej naganki na wszystkie niezależne żywioły społeczeństwa. W tych warunkach nawet umiarkowane zastrzeżenia przeciw panującemu systemowi i doktrynie zwykle wystarczają, by narazić się na miano "faszysty" i "reakcjonisty" — i w rezultacie dostać się w sferę aktywnych zainteresowań "Bezpieki." Dotyczy to także świata literatury i sztuki. Od samego początku, t. j. od chwili powstania Komitetu Lubelskiego traktowany on był jak folwark reżimu. Na stanowiska kierownicze w organizacjach literackich i artystycznych narzucono ludzi bądź swoich, bądź całkowicie uległych. Obficie sypnięto groszem państwowym na popieranie miernych nawet, ale "błagonadiożnych" pisarzy. Założono szereg czasopism niby to literackich, w rzeczywistości zaś zajętych szerzeniem marksizmu w jego ortodoksyjnie sowieckiej wykładni. Nie dopuszczono do odrodzenia się dawnej, przedwojennej prasy literackiej i artystycznej. Zmonopolizowano w "zaufanych" rękach całą niemal produkcję wydawniczą.

Nie może też dziwić, że na łódzkim zjeździe literatów czołowe oficjalne przemówienie "ideologiczne" wygłosił nie żaden pisarz, ale sekretarz generalny tzw. Komisji Centralnej Związków Zawodowych, PPR-owiec Sokorski. Sens tego przemówienia był mniej więcej taki, że pisarz ma prawo do wyboru "tematyki," musi być jednak w zgodzie z "siłami twórczymi historii" —, przy czym z całego przemówienia wynikało, iż "siły" te wolno interpretować tylko w jeden sposób, t. j. zgodnie z doktryną materializmu dialektycznego. Nowa "demokratyczna" kultura Polski dojrzeje — deklarował p. Sokorski — dopiero wtedy, gdy przejdzie przez "proces przetransformowania przeobrażeń gospodarczo-ustrojowych na język różnych form życia artystycznego." W związku z tym Sokorski wysunął postulat podporządkowania tego, co szumnie nazwał "samorządem kulturalnym", centrali związków zawodowych, znajdujących się, jak wiadomo, całkowicie pod kontrolą komunistyczną.

W podobnym duchu przemawiał główny eksponent marksizmu na terenie literackim, redaktor *Kuźnicy*, Stefan Żółkiewski. W dyskusji jednak dwoje mówców wystąpiło — zresztą w bardzo umiarkowanej i ogólniej formie — w obronie niezależności literatury; byli to krytycy literacki J. N. Miller oraz znana pisarka, autorka cyklu powieściowego *Noce i dnie*, Maria Dąbrowska. Ze skąpych na ten temat wzmianek w *Kuźnicy* wiadomo, że wypowiedziała się ona przeciw narzucaniu pisarzom kurateli politycznej i przeciw uzależnianiu ich twórczości — jak tego domagał się Żółkiewski — od "rynku polskiej rzeczywistości" dnia dzisiejszego.

Dąbrowska — jak wiadomo — ciążyła zawsze ideowo ku lewicy społecznej. Odnosiła się bardzo niechętnie do polskiego obozu narodowego; zajmowała w swych książkach stanowisko krytyczne wobec większości duchowieństwa katolickiego. Po wojnie dostosowała się do ram, narzuczanych Polsce przez obecny reżim; wyrazem tego był między innymi fakt, że kilka miesięcy temu przewodniczyła sądowi konkursowemu, powołanemu przez redakcję ultrareżimowego *Odrodzenia* krakowskiego, założonego dwa lata temu przez ludzi z Komitetu Lubelskiego. Mimo to reakcja na jej wystąpienie była aż nadspodziewanie brutalna. Replikował sam Żółkiewski, który stwierdził, że przemówienie Dąbrowskiej oklaskiwane było przez takich ludzi, jak "Kisielewski (mowa o publicyście katolickim Stefanie Kisielewskim

— przyp. red. "M.P."), Dzikowski, Szczawiej." Jakże w świetle tego — pytał Żółkiewski — wygląda "apolityczność," głoszona przez p. Dąbrowską? "Apolityczność dzisiaj jest również hasłem politycznym."

W rezultacie Dąbrowskiej nie wybrano do nowego zarządu głównego Związku Zawodowego Literatów, a prasa reżimowa ruszyła przeciw niej z inspirowaną najwyraźniej naganką. We wspomnianym wyżej numerze zjazdowym *Kuźnicy* Dąbrowska atakowana jest we wszystkich niemal artykułach. P. Hertz w artykule wstępnym uważa jej przemówienie za wyraz tego stanu umysłu, "jaki jest właściwy wszystkim uwiedzionym fałszywą frazeologią peeselskiej koncepcji kultury." Jakiś J. Rojewski w artykule p. t. "Who is who" oskarża Dąbrowską, że przemawiała z "ponurą pasją" jak agitator przed wyborami do sejmiku, stosując przy tym "brzydkie chwytliwy."

Wreszcie na ostatniej stronie tegoż numeru *Kuźnicy* znajdujemy karykaturę, zatytułowaną "Po nitce do kłębka." Widzimy na niej... Bevina i Byrnasa, trzymających w ręce wielki kłębek nici. W pewnej odległości wyciągniętą z kłębka nić trzyma w swej ręce Mikołajczyk, w dalszym zaś biegu nitka sięga postaci Marii Dąbrowskiej, odczytującej przed pulpitem swe przemówienie na zjeździe łódzkim. Dla uniknięcia wszelkich wątpliwości, kogo ta sylwetka ma przedstawiać, na dole widnieje szyderczy podpis: "Apolityczność," wyraźnie już nawiązujący do przemówienia Dąbrowskiej. Na tej samej stronie w dziale "Not" takie pod adresem Dąbrowskiej skierowano uwagi:

"Na zjeździe literatów pewna pisarka była niechętna w stosunku do całej naszej rzeczywistości, krytykowała wszystko, nie ufała niczemu, delectowała się każdym błędem: głosząc jednocześnie swoją niechęć do polityki w ogóle tępiła politykę demokratyczną w imię dostojności i moralnej wyższości wobec brudnych waśni politycznych. Gdy ją pomawiano o wrogość w stosunku do demokracji odpowiadała: "Nigdy w świecie. Ja tylko mówię w imię słuszności. Nie zwalczam żadnego programu. Jestem apolityczna."

"Otóż dlaczego pani jest apolityczna w tym kierunku, dlaczego przeciw demokracji?"

Nie trzeba wielkiej orientacji w dzisiejszych stosunkach polskich, by zauważyć, że opisana wyżej karykatura oraz cytaty z uwagi są czymś znacznie więcej niż wystąpieniem polemicznym; są to całkiem niedwuznaczne pogroźki... Takie są już w dzisiejszej "demokratycznej" Polsce metody łamania ludzi, stosowane nawet wobec pisarzy o poglądach lewicowych za to tylko, że osmielają się występować w obronie względnej choćby niezależności twórczości literackiej i przeciw całkowitemu ujarzmieniu kultury polskiej.

## DO NASZYCH CZYTELNIKÓW

"Myśl Polska" nie korzysta z żadnych subwencji i opiera się wyłącznie na wpłatach czytelników.

Prosimy uprzejmie o regularne opłacanie prenumeraty.

Prawda, stosunki w Polsce nie zaszyły jeszcze tak daleko, jak w Rosji Sowieckiej, gdzie znów stoimy w obliczu generalnej "czystki" życia kulturalnego. Przejawem jej są nie tylko anatemy, rzucane w imię panującej doktryny na tak popieranym do niedawna i politycznie lojalnym wobec reżimu pisarzy jak Zoszczenko, czy Achmatowa, ba nawet na kompozytorów w rodzaju Szostakowicza — ale i umieszczanie na indeksie coraz to nowych pisarzy zagranicznych (ostatnio losowi temu ulegli Marcel Proust, E. M. Remarque za swój pacyfizm, pisarz amerykański Ernest Hemingway — a nawet Conan Doyle za *Sherlocka Holmesa*!). Czy jednak linia, po jakiej reżim warszawski popycha Polskę także w dziedzinie literackiej, nie wiedzie prosto do tego samego stanu rzeczy, jaki istnieje w państwie Sowieców?

Wskazuje na to coraz więcej objawów.

## ZWROT NA PRAWO

Listopadowe wybory w Stanach Zjednoczonych przyniosły zdecydowane zwycięstwo republikanom. Zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie Partia Republikańska posiada obecnie większość. Dokonał się zatem w Ameryce, jak się to potocznie, choć nieściśle mówi, zwrot na prawo.

Nie potrzeba tłumaczyć, jak doniosła, wręcz dominującą rolę odgrywa dziś Ameryka w polityce światowej. To też pierwsze pytanie brzmi: jak zwycięstwo republikańskie odbije się na polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych? Czy stosunek Ameryki do Rosji Sowieckiej ulegnie zmianie, stanąć się bardziej twardy i stanowczy?

Sytuację komplikuje fakt, że prezydentem Stanów Zjednoczonych jest demokracja Truman i że, jak wiadomo, nie zamierza on ustąpić przed upływem swej kadencji. Ameryka ma zatem z jednej strony większość republikańską w Kongresie, a z drugiej demokratycznego Prezydenta i demokratyczną administrację. Rezultatem takiego układu sił może być albo paraliż polityki zewnętrznej Stanów Zjednoczonych w ciągu najbliższych dwu lat, albo większy wpływ na Departament Stanu republikanów.

Jak się zdaje, prezydent Truman pójdzie w drugim kierunku, a jego apele o współpracę są znamienne. Już zresztą przed wyborami p. Byrnes starał się współpracować z przywódcą Partii Republikańskiej, sen. Vandenbergiem i z nim właśnie udawał się na konferencje międzynarodowe.

Nie sądzimy, aby powyborcze zmiany odbiły się bardzo szybko na kierunku amerykańskiej polityki zagranicznej, choć niewątpliwie postawa Stanów Zjednoczonych wobec Sowieców będzie bardziej stanowcza. Być może, że i Rosja stanie się pozornie ustępliwsza, nie chcąc zadzierać z potężną Ameryką.

Tak czy inaczej trzeba się liczyć ze zmianami, jeżeli nie w układzie sił w świecie to w każdym razie... w taktyce głównych mocarstw.

Tyle się mówiło i pisało o powojennym zwrocie na lewo, tyle wysiłków zrobiono, aby się do tego zwrotu przystosować, tyle nam naopowiadano, że najlepiej z "lewicą" w świecie porozumie się "lewica" polska, chociaż był to nie tyle zwrot na lewo ku socjalizmowi, ile wzrost wpływów komunistycznych, że wypada obecnie zanotować wyraźny zwrot na "prawo" w Ameryce.

Ciekawi jesteśmy, czy nasi mechanicy polityczni, którzy wedle wyników wyborów w innych krajach chcieli układać sprawy polskie i dowodzili, że należy wysuwać wszędzie na czoło t. zw. lewicę, a usuwać w cień narodowców, wyciągną dziś podobne wnioski z wyborów amerykańskich? Czy pewne grupy polityczne na emigracji, które

tak gorączkowo dostosowywały swoje "programy" do zwrotu na "lewo", zaczną je dziś przerabiać w duchu "prawicowym"?

## WYBORY W BULGARII I RUMUNII

Wybory do przedstawicielstw narodowych w koncepcji komunistycznej służą całkowicie innym celom, niż w krajach o zachodnim typie ustroju. O ile w krajach tych z wyborów wyłania się przedstawicielstwo istotnie reprezentujące opinię społeczeństwa, o tyle w samej Rosji i w krajach, pod jej kontrolą się znajdujących, celem wyborów jest utwierdzenie rządów mniejszości wbrew opinii większości. Stąd całkowicie odmienny charakter instytucji wyborów i całkowicie odmiennie metody wyborcze w obu wypadkach.

Wybory ostatnio przeprowadzone przez komunistyczne rządy Bulgarii i Rumunii dostarczyły nowych dowodów, że Moskwa zmierza do ustrojowego zasymilowania swoich krajów satelickich. Przy tym w Bulgarii i Rumunii maszyna wyborcza działała już o wiele sprawniej aniżeli np. w Czechosłowacji czy na Węgrzech, gdzie "nowe demokracje" nie zdążyły zapuścić jeszcze korzeni, choćby z powodu stosunkowo krótkiego czasu od momentu objęcia urzędów do daty wyborów.

Przykład bułgarski jest może najbardziej charakterystyczny dla "ewolucyjnej" metody wyborczej, stosowanej dziś w Europie środkowej. Pierwsze wybory w Bulgarii odbyły się dnia 18 listopada 1945 roku. Mimo bojkotu tych wyborów przez niezależne stronnictwa bułgarskie, 3.862.492 głosy na ogólną liczbę 4.405.518 uprawniających do głosowania (88,3%) padły podobno na listę Frontu Ojczyźnianego. Ten stosunkowo wysoki procent głosujących mimo bojkotu opozycji wskazuje wyraźnie, że wybory te zostały sfalszowane. Interesujące światło na pierwsze wybory bułgarskie rzuca klucz podziału mandatów między stronnictwa "blokowe": komuniści otrzymali 94 mandaty, Unia Agrarna — 94, "Zveno" — 46, socjaliści — 32, radykali — 11, niezależni — 1. W drugich wyborach, które odbyły się 28 października b.r., podział mandatów wśród partii rządowych radykalnie się zmienił. Komuniści otrzymali 277 mandatów, Unia Agrarna — 64, socjaliści — 3, "Zveno" — 2. Opozycja, składająca się z niezależnych ludowców i socjalistów, dostała 101 mandatów.

Porównanie pierwszych i drugich wyborów w Bulgarii pokazuje główną tendencję t. zw. bloków, stworzonych przez komunistów w Europie środkowej. W pierwszym okresie ze względów taktycznych stwarza się pozory koalicji stronnictw, w mniejszym bądź większym stopniu zależnych. Jednakże skoro tylko komuniści poczują się dostatecznie mocno w siodle, przestają się liczyć z tymi ugrupowaniami i skupiają w swoim ręku władzę niepodzielną.

Wolno z tego wnioskować, że istnieją tajne instrukcje centrali moskiewskiej, dotyczące wszystkich krajów "sfery sowieckiej", a nakazujące przeprowadzanie sowietyzacji tych krajów etapami, zależnie od stopnia "przygotowania" i opanowania ich społeczeństw. Jak widać Bulgaria należy w tym zakresie do państw bardziej już "zaawansowanych", krocząc zaraz na drugim miejscu po Jugosławii.

Wybory rumuńskie, które odbyły się 19 listopada b.r., oczywiście niczym nie różniły się pod względem celu zasadniczego i metod od wyborów bułgarskich. Te same aresztowania działaczy stronnictw opozycyjnych (Narodowej Partii Chłopskiej i Partii Liberalnej). Ten sam terror przedwyborczy, ten sam brak wolności prasy i zgromadzeń w okresie

przedwyborczym. Wreszcie, co bodaj najważniejsze, te same oszustwa przy obliczaniu głosów.

Nic dziw więc, że blok rządowy otrzymał 349 mandatów, Partia Chłopska Maniu — 32, Partia Liberalna Bratianu — 3. Reszta mandatów przypadła Ludowej Unii Węgierskiej (29) i Demokratycznej Partii Ludowej (2). Podział mandatów w ramach bloku rządowego przypomnia najdokładniej pierwsze wybory bułgarskie. Komuniści otrzymali 73 mandaty, rozłamowa Partia Liberalna Tatarescu — 75, rozłamowi socjaliści — 75, Front Oraczy premiera Grozy — 70, Partia Ludowa — 26, rozłamowa Partia Chłopska — 20, t. zw. niezależni — 7, Żydzi — 2.

Z tragicomicznych szczegółów wyborów rumuńskich warto wspomnieć konferencję dla dziennikarzy zagranicznych, urządzoną przez premiera Grozę. Przypierany do muru pytaniami w sprawie terroru, jaki stosowany był przed i w czasie samych wyborów, Groza zirytowany rzucił pod adresem dziennikarzy amerykańskich te słowa: "Wybory w Rumunii były daleko bardziej wolne niż amerykańskie". Jeden z korespondentów amerykańskich, opisujący przebieg tej konferencji, dodaje do tego, że Groza, wśród potakiwań przedstawicieli sowieckich i satelickich, obecnych na konferencji, powiedział jeszcze: "Życzylbym sobie, by w Stanach Zjednoczonych był taki porządek w czasie wyborów, jaki był w Rumunii".

Doszło zresztą do *sui generis* wojny dziennikarzy: sprowadzeni przez rząd Grozy korespondenci pism sowieckich i satelickich, a nawet niektórych prasowieckich dzienników Zachodu, ogłosili oświadczenie, że wybory odbyły się "w porządku", przedstawiciele zaś niezależnych dzienników i agencji brytyjskich oraz amerykańskich złożyli zbiorowe oświadczenie, idące w kierunku wprost odwrotnym.

Stanowisko oficjalne Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii polega na stwierdzeniu, że wybory w Bulgarii i Rumunii nie były wolne i że dopuszczono się w nich *irregularities* (chyba łagodne wyrażenie na zwykłe oszustwa!) Oznacza to, że oba rządy anglosaskie nie uznają samych "wyborów". Przyszłość okaże, czy nastąpi jedyna logiczna konsekwencja takiego stanowiska, mianowicie cofnięcie uznania rządów, przez takie "wybory" wyłonionych.

Ukazała się w druku  
książka

WOJCIECHA

WASIUTYŃSKIEGO

pod tytułem:

TYSIĄC LAT

POLITYKI POLSKIEJ

Do nabycia w księgarniach polskich

Cena 9 szylingów

Zamówienia można też kierować do Administracji "Myśli Polskiej"



## KULTURA I ŻYCIE

Sezon zimowy — Przyływ dobrej poezji — St. Czernik —

Antologia bez średniowiecza i nowoczesności — Wieczór lotników

SEZON zimowy w Londynie zapowiada się nienadzwyczajnie. W teatrach idą ograne sztuki kasowe, z nowych utworów żaden nie wyróżnia się wartością literacką. Jeśli do sukcesów scenicznych zaliczymy pseudonaturalistyczną piłę pt. *No Room at the Inn*, w której aktualność tematu spłycono dziennikarską krzykliwością wypowiedzi, jest to raczej sukces przeszarżowanej gry, a nie roboty literackiej. Londyn żyje wznowieniami i przeróbkami *Vanity Fair*; amerykańska sztuka *Pick-Up Girl* zmienia kolejno teatry, ściągając spragnionych sensacji do coraz to innego.

Reprezentacyjny teatr Londynu, *Old Vic Company*, po dwu wspaniałych sezonach znalazł się na dość ryzykownej drodze, albowiem ani *Cyrano de Bergerac* ani nawet olivierski *King Lear* nie dają już tego natchnienia, co *Peer Gynt* przed dwu laty czy *Edyp* przed rokiem. Rutyna zastąpiła natchnienie, rutyna — niewątpliwie — dużej klasy.

Jedynie opera sprawiła Londynowi niespodziankę i na *Don Pasquale* chodzą tłumy publiczności.

W kinach — także wybirki. Najlepszy film ostatnich tygodni, *A Matter of Life and Death* zbyt igrza sobie z mistyką, żeby go móc przeżywać bez zastrzeżeń emocjonalnych; właśnie — emocjonalnych. Reklamowany w sposób nazbyt wulgarny film *The Outlaw* rozczaruje prawie wszystkich, którzy filmy wybierają wedle atrakcyjności afisza, ale za to da dobrą interpretację psychologiczną starego i oklepanego motywu; tramp, bandyta, koń, lasso i ponura dziewczyna nie są w nim tylko akcesoriami stereotypowej fabuły: film bowiem posiada więcej autentyzmu, niż wszystkie dotychczasowe obrazy rodzajowe tego typu.

\* \* \*

W sumie jednak sezon zimowy nie przedstawia się ciekawie. Dlatego zwracamy oczy ku sprawom domowym. Londyn polski ma swoje atrakcje, nie zawsze atrakcje naprawdę kulturalne — ale nie naszym tu zadaniem piętnować i jęczyć: tym bardziej, że zaczynamy już oddychać nastrojem przedświątecznym i wszystko co polskie nabiera swojskiego smaku; ujmuje i wzrusza, choć nie zawsze daje natchnienie.

Razem z Drugim Korpusem przybyła do Wielkiej Brytanii nowa antologia, wydana przez Jana Bielatowicza, p.t. *Przyływ* (Rzym, 1946, Biblioteka "Orla Białego", str. 152). Jest to publikacja wysoce wartościowa. Zawiera ona utwory bodaj czy nie najlepsze z drukowanych pod auspicjami muzy wojennej, albowiem nie są to, chwała Bogu, typowe wiersze wojenne. Ani nie zostały one napisane przez "poetów czasu wojny," którzy szybciej awansują w literaturze niż w wojsku. Poeci "Przyływu" są rzeczywiście poetami, a poczet ich otwiera jeden z najbardziej zasłużonych krzewicieli kultury poetyckiej w Polsce przed-wrzesniowej, Stanisław Czernik, redaktor ostrzeszowskiej *Okolicy Poetów*.

Czernik należy do tych pisarzy, których postępowanie i twórczość literacka są zaprzeczeniem reklamiarstwa; dlatego też może tak mało jeszcze ludzi zdaje sobie sprawę, że, redagując w prowincji *Okolicę Poetów*, pismo zrzeszające wszystkich polskich poetów, Czernik kontynuował tradycje *Chimery*. Co więcej: był

prawdziwym realizatorem zasad decentralizacji w życiu kulturalnym; przecież to nie w Warszawie, nie przy stoliku w "Ziemiańskiej," ale — jak to się mówi — w "zakutym" Ostrzeszowie Wielkopolskim redagowano pismo, które w ciągu czterech lat istnienia (1935-1939) więcej wychowało młodych poetów, niż wszystkie inne miesięczniki i kwartalniki zaprzyszczonych magów literackiej sitwy.

Krytyka literacka w naszym kraju cierpi na uwiad starczy lub na chroniczne epigoństwo. Nawet ludzie z najlepiej umeblowanymi głowami, jak Brodziński i młodzieńcy Mochnacki, powtarzali za Herderem i Schleglami, niczym za panią matką, katechizm narodowego posłannictwa. Po Brzozowskim, Matuszewskim i Irzykowskim jeden chyba tylko Czernik nie ułakł się własnej oryginalności i w dyskusyjnej dotąd jeszcze teorii t. zw. "autentyzmu" zajął się rewizją aktu tworzenia, badając środki, jakie daje psychologia i sam język, materiał uczuciowy utworu. Każda teoria, sięgająca do korzeni procesu tworzenia, musi z konieczności "sprawdzić się" sama w dziele poety: stąd powstanie niezrzeszonej grupy poetów-autentystów, którzy — każdy w swoim zakresie i temperamencie lirycznym — próbowali potwierdzić słuszność sugestii Czernika. Jeśli kto w Polsce uratował "Awangardę" poetycką od talmudyzmu pseudo-inteligenckich dociekań, od dreptania w kółko za raz przyjętymi motywami — to był nim właśnie Czernik! Jak każda teoria, płodna w analogie i asocjacje, autentyzm był banalizowany i spłycany: tym niemniej jest to kamień węgielny naszej nowoczesnej krytyki literackiej — i o autentyzmie nieraz jeszcze usłyszymy w przyszłości.

Czernik jest zrównoważonym poetą. W wierszach, zawartych w *Przyływie*, znajduje wrażenia wojenne tak bardzo przebudowane od wewnątrz, że zatracają one niemal aromat konkretności: ale właśnie w tym niernarzucającym się obrazie lirycznym przeżył istnienie kompozycji materiału, jakże trwalsza nad spontaniczne "wybuchy" niekontrolowanych "natchnień."

W poetyckim pamiętniku z podróży morskiej jest taki spokojny, mocno związany obraz:

Kończy się morze.

Czeka port.

I znów jesteśmy dalej.

O setki mew.

Może o tyle będzie gorzej,

Ile zliczono mew na fali.

W *Przyływie* wyróżniają się także wiersze Józefy Radzywińskiej, której pokrewieństwo stylowe z poezją zmarłego Topornickiego (najciekawszy to obok Bogumiła Andrzejewskiego poeta ostatniego pokolenia) gwarantuje czytającemu świeżą metaforę, umiejętnie dozwany patos, a także i "barbarzyński" witalizm młodości. Przestrecz trzeba jednak utalentowaną autorkę przed tak sentymentalnymi chwykami jak w wierszu "O powrocie trudnym": nie jest to bowiem poezja, choć pewnie jest w owych "pointach" felietonowy patriotyzm.

Bardzo dobrze zapowiada się w tomie Tadeusz Sulowski. Uniknął wśród krajoobrazowych polowaczy metafory, gdyż próbuje on intelektualnej rewizji wrażeń zmysłowych, i, jak Czechowicz w ostatniej fazie swojej wielkiej twórczości, daje problematykę nieprzemijającą (choć Sulowski wystrzegać się

powinien skamandryckich zadurzeń słowami, nieusprawiedliwionych i kontekstem wiersza, co widać w "Gwiazdach" a szczególnie w niepotrzebnie dogranych linijkach: "Tyle wiem, ale tyle nie wiem, I do reszty nie dojdę nigdy"; — niegodne to poety-intelektualisty!). W Sulowskim należy powitać poetę z prawdziwego zdarzenia.

Cały zbiór *Przyływu* znajduje się pod znakiem triumfującej "Awangardy", wbrew modzie na okolicznościową poezję rymotwórców "czasu wojny": nawet najbardziej nierówny w tomie Wiktor Trościanko nie ustrzegł się błogosławionego wpływu nowoczesnej poezji. Jedynie gwarowa poezja Adolfa Fierli nie harmonizuje z całością antologii: wydaje mi się, że dialekt nie powinien być wyszywanką na wierszu; dopóki wiersz nie jest usprawiedliwiony dobrą budową i przekonywającą metaforą kolorystyka gwary myli tropy czytelnika. Fierla, mimo swej niewątpliwie autentycznej gwary, pisze konwencjonalnie (tak jak konwencjonalnie pisał często Burns), np.: "Mrok dyszy w półmście nad jęków dolina": to "ó" pomieszczenie nie wiele pomaga, a "ą" w dolinie wygląda na błąd cecerski.

*Przyływ* odznacza się poza tym dobrymi notami biograficznymi.

\* \* \*

Zwięzłymi notami i wygodnym indeksem odznacza się także antologia M. Grydzewskiego, zatytułowana *Wiersze polskie wybrane* (Londyn, 1946, nakładem "Orbisu", stron VIII i 352). Liczy ona blisko tysiąc wierszy sięgając aż do chwili obecnej. Zawrzyjmy w krótkich punktach ocenę tej publikacji.

*Zalety*: 1) Próba wiernego oparcia tekstów na autorytatywnych wydaniach; 2) przejrzystość układu (przyjęta chronologia wedle dat urodzenia); 3) unikanie utworów fragmentarycznych oraz wyimków z większych całości; 4) dobry wybór wierszy poetów starszych, szczególnie A. Morsztyna, Książna (choć — nie wiedzieć dlaczego — brak przełomowego dla naszego piśmiennictwa "listu poetyckiego" o Babiej Górze) i Karpińskiego ("Przypomnienie dawnej miłości" jako przykład czystej liryki); 5) nacisk na liryczną twórczość w wyborze wierszy romantyków (Mickiewicza sonety, Słowackiego drobne utwory); 6) właściwe potraktowanie liryki Norwida.

*Wady*: 1) Brak anonimowej liryki średniowiecznej, choć uwzględniono "Bogurodzicę": jest to świadome skracanie tradycji naszej poezji o jeden wiek. Wiersz "Krzyżu święty nade wszystko", jakże świeży i zindywidualizowany w zestawieniu z Fortunatowym wzorem *Pange lingua gloriosi*, już choćby dla swojej 15 zwrotki wart jest czołowej pozycji w tego rodzaju wyborze. "Zale Matki Boskiej pod Krzyżem", ciekawy przykład piętnastowiecznego "wiersza wolnego", udowadnia że i nasz naród umiał uderzyć w ton *Quia Amore Languet*, — ale Grydzewski widocznie woli "Dziada i babę" Kraszewskiego od maryjnej poezji polskiej.

2) Na tle niepotrzebnie umieszczonych wierszy Kraszewskiego, F. Zablockiego, K. Węgierskiego, Jasińskiego, Mieczysława Napierskiego razi brak zupełny autora "Marii", Malczewskiego. Autor najbardziej skończoności poematu w naszej

## PRZEGLĄD WYDAWNICTW

literaturze ustąpił niejsza "Dziadowi i babie" oraz rymowanemu potokowi Lenartowicza i Witwickiego. Wydawca powiada, że unika fragmentów, ale jednocześnie daje błahostki z "Pana Jowialskiego". Tego braku Malczewskiego nie nie usprawiedliwi!

3) "Młoda Polska" została potraktowana niesprawiedliwie, aby uwypuklić znaczenie jej oczywistych epigonów, "skamandrytów". Nawet Kasprzowicz został dziwnie sporządzony: uznano jego "Księgę Ubogich", zbiór ukazujący jeden tylko aspekt twórczości Kasprzowicza, a pominięto hymny. Nie ma "Mojej pieśni wieczornej", ale jest za to Wittlina wodolejny "Ból drzewa".

4) Tendencyjność wydawcy w stosunku do polskiego ruchu "awangardowego" jest aż nazbyt jaskrawa na tle olbrzymiej ilości rymowanych felietonów Slonimskiego, wierszy Janty i Kolonieckiego. Nasuwa się pytanie: dlaczego redaktorzy pism literackich traktują współczesną sobie literaturę jak własny folwark? Mógł przecież gorliwy propagator wierszowanej latwiny uniknąć obojętności obiektywnej oceny przeciwnych prądów w poezji polskiej, poprzestając na wyborze utworów autorów zmarłych (praktykowane często za granicą), lub jak Borowy skończyć na Młodej Polsce. Największy poeta liryczny ostatniej doby, Czechowicz, jest gorzej reprezentowany niż autor gawęd szkockich, Jan Rostworowski; a Przyboś, Łobodowski, Czuchnowski i Piętał zostali zlekceważeni. Nie ma w antologii w ogóle Brzękowskiego, Jerzego Zagórskiego i Czernika. Nie zamyka antologii nowator Bogumił Andrzejewski, ale kontynuator Wincentego Pola: oto sfalszowany obraz współczesnej poezji polskiej! Pokazał wydawca prowincjonalne sławy, Ciemnogród literacki, wsteczniczo formy — a tendencyjnie pominął lub zlekceważył tych, którzy biorą udział w ogólnoswiatowym ruchu poetyckim, idąc odważnym śladem wielkich Europejczyków i nowatorów: Mickiewicza, Słowackiego i Norwida. Gdyby M. Grydzewski wydawał swoje wiersze wybrane przed czterdziestu laty, na pewno umieściłby "Dziada i babę", a wspaniałomyślnie pominął Norwida. Za pół wieku antologia omawiana będzie dla krytyków przykładem rozminięcia się wydawcy z istotnymi drogami poezji polskiej XX wieku. Uparty Koźmian pewnie by pominął sonety Mickiewicza, a zamieścił kilka stron wierszy Osieńskiego, gdyby mu strzelił do głowy pomysł skompilowania antologii.

5) Noty wydawcy antologii ograniczają się do wartościowych oznaczeń tekstu, podając strony używanych wydań etc.; szkoda, że nie wysuwają one dość narzucających się uwag jak np. sprawy autorstwa "Roxolanek" (wydawca, *nota bene*, przedkłada Szymona nad Bartłomieja Zimorowicza, co — po znakomitym a rewindykacyjnym studium Adamczewskiego — jest może nazbyt tradycyjalne). Tym niemniej indeksy antologii są jej najsilniejszą stroną. W sumie: książka jest owocem dużej pracy i cierpliwości. Szkoda tylko, że tak tendencyjna. . .

\* \* \*

Lotnictwo polskie rozwiązuje się. Razem z walką polskich dywizjonów wzrastała w ciągu sześciu lat autentyczna literatura o tematyce lotniczej, pisana przez uczestników tych zmagani. Na wieczorze autorskim współpracowników *Skrzydeł* (w dniu 26 listopada) usłyszano utwory prozą: Łaszkie-wicza, Głębockiego, Baykowskiego, a z poezji wiersze: Facyńskiego, Lisiewicza, Moskwy. Wieczór ten miał pełny wydźwięk szczerości.

J. P.

London, 1 grudnia 1946 r.

**Sir Samuel Hoare, Viscount Templewood: AMBASSADOR ON SPECIAL MISSION.** London, 1946. Collins. Stron 315. Cena 16s.

Czterdzięci lat temu tylko czytelnicy o bardzo indywidualnych gustach przyznawali się do tego, że lubią Aleksandra Dumasa ojca. Uznawano wówczas, że powieści o zawilej intrydze i pełne przygód mogą bawić młodzież w wieku szkolnym; dobry smak i wielka sztuka stronią od gwałtowniejszej i awanturkowej akcji, wymagają natomiast zawilosci psychologicznej i obrazów z codziennego życia. Tymczasem scenariusze filmowe, a jeszcze bardziej wydarzenia wojenne wznosiły i włączyły w obręb praw sztuki ucieczki, intrygi, szpiegostwo i różne postacie w rodzaju dumasowskiej *milady*. Nowy ten styl jest do tego stopnia wyrazem rzeczywistości, że wspomnienia lorda Templewood z misji jego do Hiszpanii czyta się, jak powieść. W pewnej chwili jego dwuletnie walki z "Falangą" i ministrem spraw zagranicznych Serrano Sunerem zaczynają się kojarzyć z czymś dawno znanym i przypominają zapasy Petroniusza z Tygellinem. Nie tyle o postaciach tu chodzi, co o istotę konfliktu.

Sam lord Templewood jest świadom takich analogii. Jednemu ze zbiegów francuskich, który przyniósł ze sobą Stendhalowską *La Chartreuse de Parme*, przyznał się, że korzystał z tego "zakłętego skarbu" w okresie rozterki. Nie rozstawał się z tą książką w nocach pełnych trwogi, poprzedzających upadek Francji w 1940 r. Zawile intrygi policyjne na dworze włoskiego autokraty przypominają lordowi Templewood stosunki hiszpańskie z tym niespodzianym wynikiem, że porównuje Serrano Sunera z hr. Mosca — i przez to albo zadaje kłam głoszonej przez siebie nienawiści do przeciwnika, albo wykazuje, że nie rozumie bohatera Stendhala.

Rządzącego Hiszpanią gen. Franco lord Templewood oskarża o współpracę z Niemcami i przytacza na to liczne dowody. O nim jak i o "Falandze" odzywa się z równą nieżyczliwością. Czytając jego książkę obserwować można rozwój gry, która ze strony hiszpańskiej mogła uchodzić za podwójną neutralność. Franco na przemian ustępował aliantom i Niemcom, a jeżeli części tym ostatnim, to dlatego, że byli brutalniejsi i bardziej natarczywi. A jednak dwa wielkie wydarzenia, jak lądowanie wojsk anglosaskich w Afryce i okupacja Wysp Azorskich — szczególnie to pierwsze przedsięwzięcie o przełomowym znaczeniu — nigdy by nie doszły do skutku bez hiszpańskiej neutralności. Templewood pisze, że organizacje szpiegowskie niemieckie były tak liczne, iż jedne szkodziły drugim i dawały informacje wzajemnie sobie zaprzeczające, a następnie, że Niemcy przy całej swojej brutalności byli tępi i dawali się oszukiwać. Zmiany w madryckim ministerstwie spraw zagranicznych były dowodem ostrożnej, a w końcu korzystnej dla Hiszpanii polityki Franco. Do chwili upadku Francji na czele tego ministerstwa stał przychylny Anglii Beigbeder, z nastaniem przewagi Niemców zastąpił go Serrano Suner, o dyktatorskich manierach niestety przypominających Becka. Z pierwszą jednak oznaką zmiany fortuny Serrano Suner odszedł, a miejsce jego zajął hr. Jordana, umiarkowany konserwatysta, życzliwy dla aliantów. Ze wspomnień angielskiego ambasadora wynika że Franco, folgując ekscesom "Falangi" i głośnej sympatii wielu człon-

ków swego rządu dla "Osi", liczył się równocześnie ze zmęczeniem swego narodu wojną domową i z ksenofobią w stosunku do każdego cudzoziemca, a więc i do Niemców. Może szczęście, a może jednak umiejętność powstrzymała go od kroków, tak zgubnych dla Mussoliniego.

Trudno, wymagać aby lorda Templewooda nie ponosiła namiętność własnej sprawy, tym bardziej, że rola jego w Hiszpanii była bardzo ciężka, ale trudno też nie brać pod uwagę niektórych zastrzeżeń i wątpliwości wyrażonych przez hr. Jordana (nie wszystkie oczywiście są równie przekonujące).

Na początku 1943 r. krążyły po Madrycie pogłoski, jakoby w Moskwie Stalin i Churchill zgodzili się na podział Europy między wpływy rosyjskie i angielskie. Lord Templewood przeczył temu. Hrabia Jordana napisał do niego: "Komunizm jest jednym z wielkich niebezpieczeństw, zagrażających światu, tym bardziej, gdy popiera go siła wielkiego mocarstwa, nic więc dziwnego, że ci, którzy nie są zaślepieni obecnym położeniem, czują się zaniepokojeni. My, Hiszpanie nie stanowimy pod tym względem wyjątku i wiele narodów jest tego samego co my zdania, przede wszystkim te, które z Rosją sąsiadują. . . . Jeżeli Rosja będzie zwycięska, sądzimy, że i Anglia może być doprowadzona do zajęcia podobnego stanowiska i może wówczas nie uzna za przesadzone naszych obecnych obaw. . . . Jeżeli — pisał dalej hr. Jordana — wypadki w przyszłości rozwiną się wedle naszych przypuszczeń, to w takim razie Rosja zapanuje się głęboko wewnątrz terytorium niemieckiego. Jakież wówczas powstanie niebezpieczeństwo nie tylko dla kontynentu, ale dla samej Anglii, jeżeli Niemcy, zamiast być pobite częściowo i służyć za wał przeciwko komunizmowi, zamienią się na Germanię zsowietyzowaną, dostarczą Rosji swoich inżynierów, wyspecjalizowanych robotników i techników i przez tę pomoc pozwolą na rozprzestrzenianie się jej imperium bezprzykładnie wielkiego, od Atlantyku do Pacyfiku?" (Str. 190).

Polaków, którzy pod obcą przemocą zostali pozbawieni wszelkich normalnych i ustalonych form życia, zainteresuje między innymi rozdział poświęcony przez ambasadora opisowi prowincji hiszpańskiej. Templewood szukał tam popleczników, szczególnie wśród episkopatu i klasztorów katolickich, ale odwdziadł też stare rodziny, osiadłe w swoich domach od pokoleń. Kierownicy i poplecznicy dyktatury popełnili z pewnością wiele nadużyć i słuszną wzbudziła niechęć u oświeconych katolików, ale krytykowany reżim obecny uratował dla Hiszpanów wiele z tego, czego w tej chwili pozbawiona została Europa wschodnia.

J.A.Z.

**Henryk Bagiński: POLAND AND THE BALTIC.** The Problem of Poland's Access to the Sea. With an Introduction by Allan Graham, M.P. Second edition, revised and enlarged. London, 1946. Skład główny: Księgarnia Polska, 29, Buckingham Palace Road, London, S.W.1. Cena 21s.

Przeżywamy dziś okres, gdy przez świat zachodni idzie fala propagandy, zwróconej przeciwko nowym granicom zachodnim Polski. To też dobrze jest, że właśnie w chwili obecnej ukazuje się książka pułkownika H.

## LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy).

Bagińskiego w języku angielskim, zaopatrzona wstępem jednego z b. posłów do Parlamentu brytyjskiego, wykazująca w sposób przekonujący, wszechstronny i jasny, że Polska musi mieć szeroki dostęp do Bałtyku i dorzecza Odry.

Książka zawiera 50 szkiców i map, w tym jedną mapę wielobarwną środkowej Europy, ilustrującą w sposób bardzo plastyczny zasoby gospodarcze i stosunki komunikacyjne na obszarach od Szwecji i Finlandii po Grecję i od Tyrolu i Kanału Kilońskiego po Moskwę i Krym. Zapoznanie się z argumentami tej książki — w obecnym okresie sporów o Odrę i Nisę — będzie rzeczą pożyteczną nawet dla niejednego niezorientowanego w sprawach zachodnio-polskich i geograficzno-gospodarczych Polaka. Tym pożyteczniejsza będzie — z polskiego punktu widzenia — dla czytelników angielskich.

Nie jeden Polak, zastanawiając się nad wyborem prezentu na Boże Narodzenie dla znajomych Anglików, dobrze zrobi, decydując się na wybór tej właśnie książki. j.g.

POLAND IN THE BRITISH PARLIAMENT 1939-1945. Documentary Material Relating to the Cause of Poland during World War II. Compiled and edited by Waclaw Jędrzejewicz with the assistance of Pauline C. Ramsey. Vol. I: March 1939-August 1941. New York, 1946. Joseph Pilsudski Institute of America for Research in the Modern History of Poland. Stron XXX i 496. Cena 5 dolarów.

Institut im J. Pilsudskiego w Ameryce, którego zadaniem jest zbieranie i publikowanie materiałów do najnowszej historii Polski, przystąpił do wydania tekstów oświadczeń i przemówień na temat Polski, wygłoszonych w brytyjskiej Izbie Gmin w ciągu Drugiej Wojny Światowej. Wydawnictwo to, którego redaktorem jest dyrektor Instytutu Waclaw Jędrzejewicz, ma na celu oszczędzenie pracy historykom, politykom i dziennikarzom, którzy bez tego rodzaju podręcznika musieliby, chcąc znaleźć odnośne oświadczenia, wertować całe stopy "Hansardów". Całość obliczona jest na trzy tomy. Tom pierwszy, który właśnie się ukazał, obejmuje okres od ogłoszenia gwarancji brytyjskich dla Polski aż do opublikowania Karty Atlantycznej.

Lektura tomu jest fascynująca, budzić jednak musi bardzo smutne refleksje. Jakże daleko znaleźliśmy się nie tylko od zasad Karty Atlantycznej, ale i od podstawowych norm cywilizowanego współżycia ludzi i społeczeństw! W świetle ciągłego ich gwałcenia i łamania — nawet przez czołowe narody Zachodu — okres Konferencji Wersalskiej z lat 1919-20, mimo wszystkich jego błędów i grzechów wydaje się owiany atmosferą prawdziwego humanitaryzmu i idealizmu.

Książka opracowana jest starannie i spełni niewątpliwie wyznaczone sobie zadanie. Dla orientacji czytelnika tekst — poza przedmową i bibliografią — poprzedzony jest wykazem głównych członków Rządu Brytyjskiego i Rządu Polskiego w okresie, któremu tom jest poświęcony. Wartość dokumentaryczną posiadają również mapy i ilustracje, związane z omawianymi wydarzeniami.

## PAMIĘTAJ

O ODNOWIENIU PRENUMERATY  
NA R. 1947

## WYSPIAŃSKI i DMOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Niezmiernie interesujący i — przynajmniej dla mnie — rewelacyjny artykuł prof. Władysława Folkierskiego o "Ślubach Maryjnych" skierował mą myśl ku prawdziwemu klejnotowi, jakim jest jednoaktowy dramat Wyspiańskiego o lwowskich ślubach Jana Kazimierza. Krótki epizod, opowiedziany np. przez Kubalę stenograficznym sposobem, dał impuls do jednej z najpiękniejszych scen w naszej literaturze dramatycznej, do obrazu, pełnego barwy, napięcia i melodii.

Lecz z Wyspiańskim to już jest tak, że skoro człowiek znacznie o nim dumać, myśl snuje się sama. Otóż nagle strzeliło mi do głowy, że byłoby dobrze, gdyby ktoś, kuty w Dmowskim, jakiś młody narodowiec z przekonania politycznych a polonista z wykształcenia, rozpracował temat, który zaledwie poruszyłem z grubsza, pisząc niedawno przedmowę do wydanej we Włoszech przez II Korpus "Wyzwolenia". Dramat ten wieniec epokę tak wspaniałą w dziejach polskiej twórczości artystycznej, politycznej, naukowej i t.d., że nie łatwo znaleźć okres, który by dorównał mu bogactwem i rozpiętością. Pilsudski, ukryty w mrokach konspiracji, gotuje się do skoku. Paderewski gra Polskę we wszystkich stolicach świata. Napięta aż do bólu myśl Zeromskiego pracuje nad pierwszymi stronami "Popiołów". Dmowski pisze katechizm nowoczesnego Polaka. Maria Skłodowska-Curie rozwija swój genialny wynalazek, i jeżeli się nie mylę, w tym samym czasie Olszewski, uzupełniając pracę Wróblewskiego, skrapla tlen i azot. W 1903 r., współcześnie z "Wyzwoleniem" i książką Dmowskiego, powstaje "Próchno" Berenta i "Na skalnym Podhalu" Tetmajera. Cóż za profuzja! Reymont, Kasprowicz, Miciński, Przybyszewski z jednej strony, z drugiej zaś Matejko prozy polskiej, Sienkiewicz gra jeszcze pełnią tonu, jak gra polski Balzac — Prus. To okres, gdy polski "Molier w spodnicy", Zapolska, płodna płodnością króliczy, sypie jedną sztukę po drugiej. Na wargi Boya wypływają pierwsze takty figlarnych a mądrych, wesolych a ogromnie przez to smutnych piosenek. Prawdziwy *embarras de richesse*! Gdzieś zaś z boku stoi, przygląda się i ostrzy swój skalpel ten krytyk, który opisze "Legendę Młodej Polski", Brzozowski.

Idzie mi jednak o zbieżność w czasie — chyba nie przypadkową! — "Wyzwolenia" i "Myśli nowoczesnego Polaka". Oba dzieła figurują pod rokiem 1903, choć podobno książka Dmowskiego była gotowa już w 1902 r. Ci dwaj wielcy wychowawcy znali się osobiście. Anegdota mówi, że spędzili razem cały wieczór w liczonym gronie i że Wyspiański, swoim zwyczajem, milczał jak zakłęty, że zaś Dmowski, swoim również zwyczajem, sypał dowcipem. Na drugi dzień miał rzec Wyspiański, że spędził niezmiernie interesujący wieczór...

Lecz to anegdota. Rzecz ważniejsza, że te dwa utwory, niezależnie od siebie, są dwoma dekalogami państwowości polskiej. W dramacie tak na wskróś, do głębi, nacjonalistycznym i — nie waham się rzec — "etatystycznym", występuje pewien ostro zarysowany egoizm narodowy, ten właśnie egoizm (*sacro egoismo*), o którym współcześnie pisze Zygmunt Balicki.

Nie znaczy to, by "Wyzwolenie" miało być w jakiegokolwiek mierze odbiciem zasad, które najsilniej wyraża Dmowski i Balicki. Niemniej egoizm i nacjonalizm i etatyzm, n.b. najpiękniejszego pokroju, nadto elitarność koncepcji społeczno-narodowej, znajdująca swój odpowiednik w hierarchii, której wyznawcą jest Dmowski (Wyspiański także mówi o hierarchii, zwąc ją "drabiną Jakubową"), głównie gorący strumień patriotyzmu, miłości ojczyzny, będącej najwyższym nakazem, wszystko to narzuca nam myśl, że pewne utwory powstają wtedy, gdy powstać muszą, że są one kategorią wykładnikiem chwili dziejowej.

Syn kamieniarza warszawskiego, Dmowski, i syn rzeźbiarza *minorum gentium*, a raczej modelatora krakowskiego, Wyspiański, współcześnie i niezależnie, wychowawcą chcą Polaka, chcą go zbudzić. Obaj, na piętnaście lat przed wskrzeszeniem niepodległej Polski, pragną uformować, wymodelować, wykuć w granicie czy odlać w spżu talicy, na których wryte są przykazania Polaka. Obu tych wychowawców charakteryzuje niezmierny upór w wypowiadaniu myśli. Obaj operują techniką nieco podobną, powtarzając swe wywody tak długo, aż wreszcie zostaną wyrażone w formie narzucającej się rozumowi i wyobraźni. Obaj, i to może najważniejsze, mają krytyczny stosunek do wszelkich frazesów, do ustalonych kanonów, obaj uczą myśleć logicznie, za pomocą przesłanek bezwzględnych, niepopularnych, obaj są wrogami słów czy myśli, rzucanych na wiatr. Obaj mają stosunek chłodny do tłumy, obaj nie ubiegają się za tanim poklaskiem, obaj wskazują nie łatwą ale drogę trudną, wymagającą woli i charakteru.

Taktycznie, ale tylko taktycznie, supremacja państwa jest punktem zbieżnym, w którym spotka się Wyspiański i Dmowski. Pierwszy potępił powstania z tego powodu, że były źle przeprowadzone, drugi także surowo osądził wódzów. Obaj mają wstręt do anarchii myślenia i działania. Jeśli powien policyjny przymus, który chciałby stosować Wyspiański (Polak powinien "być ze zamkniętą gębą"), wywołuje w nas protest, wypada stwierdzić, że i Dmowski i dąży do porządku utrzymanego twardą ręką. Według zabawnej a podobno autentycznej anegdoty, Dmowski, zapytany, czym chciałby być w niepodległej Polsce, odpowiedział, że objąłby chętnie stanowisko pułkownika żandarmerii.

Oczywiście, to anegdota, nic więcej, ale w każdym razie anegdota wielce znamienita. Wyspiański, nazywając poezję "tyranem", toleruje tyranie środków, które mają posłużyć do stworzenia państwa, ten sam zaś despotyczny rys można zauważyć u Dmowskiego. Co więcej, i u Dmowskiego, w latach późniejszych wystąpił koncepcja elitarna, którą wyklada Konrad, mówiąc: "Więc my tracimy przez to, że niepotrzebnie wyrabiamy w tyłu ludzi poczucie narodowości, a oni, nie mając charakteru, nie wiedzą, co z tym począć i kapitulują... Ale za nich nie może być odpowiedzialny naród. Oni nie są narodem." Warto zauważyć, że Dmowski, tworząc później Obóz Wielkiej Polski, wcale nie otwiera bram tego obozu na ścieżaj dla byle kogo. Przeciwnie, domaga się od młodzieży wysokich kwalifikacji moralnych, utrudniając egzamin, zamiast go ułatwiać.

Ta sama data powstania dwóch dzieł wychowawczych skłoniła mnie do rzucenia

kilku ogólnikowych uwag. Z innych przesłanek wychodzi Wyspiański, z innych Dmowski. Pierwszy wierzy w kierowniczą rolę jednostki, drugi w ruch warstw. Pierwszy, w "Weselu" ustosunkowuje się krytycznie do chłopca, w "Wyzwoleniu" do robotnika, drugi, zwłaszcza w późniejszej fazie działalności, pragnąłby stworzyć wielki ruch narodowy, na podstawie chłopsko-robotniczej, ale obaj mają kult państwa, kult wielkości Polski, i obaj chcą zbudzić wszystkie siły w narodzie, by zaprząć je do służby dla wielkiej budowy politycznej. Konrad modli się do Boga:

"Jest tyle sił w narodzie,  
jest tyle mnogo ludzi,  
niechże w nie duch Twój wstąpi  
i śpiące niech pobudzi!"

Dmowski sformułuje to później, mówiąc: "Bo jak przed lat tysiącem, tak dzisiaj na tej równinie polskiej, przez którą idą potężne wichry od wschodu i zachodu, nie ma miejsca na zaciszne życie bez troski, na naród leniwy i ospały. Za to naród dzielny, czujny i wytrwały, zdolny do nieustannego wysiłku, ma tu wszelkie warunki do stania się wielkim i potężnym i zajęcia jednego z pierwszych miejsc w pracy cywilizacyjnej".

Kończąc już me pośpieszne, szkicowo rzucając uwagi. Może ktoś podejmie pracę o charakterze seminaryjnym czy nawet pro-seminaryjnym, i podeprze me wywody, trochę watę, kručze i zarazem hipotetyczne. Wszyscy myślimy dzisiaj o wyzwoleniu. I wszyscy widzimy potrzebę wychowania nowoczesnego Polaka.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Londyn, d. 30 listopada 1946 r.

## ZWIĄZEK OFICERÓW REZERWY

Szanowny Panie Redaktorze,

Od członków — przedwojennych — Związku Oficerów Rezerwy, obejmującego także i podchorążych, otrzymuję zapytania w sprawie wznowienia — po wojnie — działalności Związku.

Pytania te są skierowywane do mnie jako do byłego wiceprezesa największego — przed wojną — koła Z.O.R., we Lwowie, oraz wielokrotnego referenta i przewodniczącego komisji dla spraw programu i planowania — na zjazdach Związku — ogólnopolskich i okręgowych.

Jednym z istotnych — ewentualnych — zadań wznowionego Związku miałyby być: wstawienie na właściwe miejsce, w powojennym życiu polskiego społeczeństwa, rezerwistów wychowanych już w Polsce Niepodległej.

Byłbym bardzo wdzięczny Panu Redaktorowi za umieszczenie mego wyjaśnienia idącego w tym kierunku, iż wznowienie działalności Związku jest obecnie przedmiotem rozważań.

Momentem wstrzymującym ten krok jest obawa przed zwiększeniem, i tak już dużej, ilości organizacji emigracyjnych, wskutek czego niektóre z nich wiodą żywot raczej nominalny — pozorny.

Rezerwiści: oficerowie, podchorążowie i posiadający równorzędne kwalifikacje, którzy chcieliby wypowiedzieć swe zdanie w tej sprawie, zechcą swe uwagi nadesłać pod moim adresem.

Adres: BCM / Stanwik, London, W.C.1.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania  
INŻ. STAN. W. SZCZEPANOWSKI  
Londyn, 28 listopada 1946 r.

W ósmą rocznicę śmierci

ś † p.

ROMANA DMOWSKIEGO

odbędzie się we czwartek dnia 2 stycznia 1947 r. o godzinie 10 rano, w Kościele Polskim przy Devonian Road w Londynie, nabożeństwo żałobne za spokój Jego duszy —

o czym zawiadamia

STRONNICTWO NARODOWE

## KSIĄŻKI NADEŚLANE

**Stanisława Kuszelewska:** KOBIETY. Rzym, 1946. Instytut Literacki. Stron 193.

**Karol Poddebski:** POLSKA W OBOZIE KONCENTRACYJNYM. Rzym, 1946. Oddział Kultury i Prasy II Korpusu. Stron 100. Cena 100 lirów.

**M. K. Pawlikowski:** SUMIENIE POLSKI. Rzecz o Wilnie i Kraju Wileńskim. Londyn, 1946. Związek Ziem Północno-Wschodnich R.P. Stron 44. Cena 3s.

**Zygmunt Nowakowski:** ORZEŁ CZY RESZKA? Londyn, 1946. Stron 30. Cena 2s. 6d.

**WYTKNIĘTY KURS.** Stanowisko Polskiej Marynarki Handlowej po dniu 5 lipca 1945 r. Związek Kapitanów, Oficerów Pokładowych, Maszynowych i Radiotelegrafistów Polskiej Marynarki Handlowej. Londyn, E.C.3. Stron 50. Cena 2s. 6d.

**W OBRONIE WOLNOŚCI I NIEPODLEGŁOŚCI RZECZYSPOLITEJ POLSKIEJ.** Dokumenty. Czerwiec — Listopad 1945. Stron 42.

**Kazimierz Rudczyński:** ZBRODNIE WOJENNE. Studium w skali międzynarodowej. Glasgow, 1946. Książnica Polska. Stron 48. Cena 3s.

**Józef Relidziński:** DWA MIASTA (Lwów — Wilno). Poemat. Jerozolima, 1946. Publishing House "Trough Lands and Seas in the East". Stron 16.

**Józef Relidziński:** RAPSD WARSZAWY. Jerozolima, 1946. Publishing House "Trough Lands and Seas in the East". Stron 23.

**Denis Gwynn:** WATYKAN I WOJNA W EUROPIE. Przekład z angielskiego. Londyn, 1946. F. Mildner & Sons. Stron 156. Cena 6s.

**M. O'Leary:** KOŚCIÓŁ KATOLICKI A WYCHOWANIE. Słowa wstępne Christopher Dawson. Londyn, 1946. F. Mildner and Sons. Stron 97. Cena 5s.

**Ks. Michał Rękas:** NOWOCZESNE POJĘCIE KOŚCIOŁA. Londyn, 1946. F. Mildner & Sons. Stron 36. Cena 2s.

**E. Majzner i J. Horzelski:** ZWIĄZKI ZAWODOWE W WIELKIEJ BRYTANII (TRADE UNIONS), Caldron House (Publishers) Ltd. Stron 72.

**Zygmunt Zaremba (Marcin):** POWSTANIE SIERPNIOWE. Londyn, 1946. Polska Partia Socjalistyczna. Stron 94. Cena 4s. 6d.

**Feliks Gross:** SOCJALIZM HUMANISTYCZNY. New York, 1946. Związek Socjalistów Polskich w Stanach Zjednoczonych. Stron 96. Cena 1 dolar.

**W. Śledziński:** GOVERNOR FRANK'S DARK HARVEST. London, 1946. Stron 230. Cena 12s. 6d.

**THE CENTENARY OF THE TECHNICAL UNIVERSITY OF LWÓW, 1844-1944.** London — Lwów, 1946. The Committee of the Centenary of the Technical University of Lwów. Stron 103.

**IT SPEAKS FOR ITSELF.** What British War Leaders said about the Polish Armed Forces, 1939 — 1946. Kwatera Prasowa Sił Zbrojnych. Stron 161.

**Lesław Wierczyński:** LE PARTI POLITIQUE ET L'ELECTION PROPORTIONNELLE DANS LA LOI DU JULLIET 1922 CONCERNANT LES ELECTIONS A LA DIETE POLONAISE. Fribourg, 1946. St. Paul. Stron 106.

**Mieczysław Sangowicz:** L'INSURRECTION POLONAISE DE 1863 DANS LA PRESSE SUISSE. Fribourg, 1946. Stron 92.

Treść Nr. 105 (Rok VI, Nr. 10) "Myśli Polskiej":

BETLEEM POLSKIE — Jerzy Faczyński; O TRADYCJI I TRADYCJACH — Władysław Folkierski; WIARA LOTNIKÓW; NA BEZDROŻACH MARKSIZMU — Andrzej Tomicki; JEST WIĘCEJ PRZESTĘPSTW WŚRÓD PISARZY SOWIECKICH — Michał Stachnik; TRZECH JEŹDZCÓW APOKALIPSY — Gilbert Keith Chesterton; CZŁOWIEK EUROPY — Tadeusz Szymański; IMPRESJE NEAPOLITAŃSKIE — Wiktor Trościanko; LOS, MARSZ PODCHORĄŻYCH — Józefa Radzyńska; UWAGI: Tylko noty? — Ponure widowisko — Zjazd brukselski — Totalizm w literaturze — Zwrot na prawo — Wybory w Bułgarii i Rumunii; KULTURA I ŻYCIE; PRZEGLĄD WYDAWNICTW; LISTY DO REDAKCJI: Wyspiański i Dmowski — Dr. Zygmunt Nowakowski, Związek Oficerów Rezerwy — Inż. Stanisław Wiktor Szczepanowski; KSIĄŻKI NADEŚLANE.

### "MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i Administracja:

8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. Tel. WEstern 1797.

Prenumerata półrocznie (6 numerów) 12s. lub \$4.

Prenumerata rocznie (12 numerów) — £1. 4s. 0d. lub \$8.







